

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 43 (1194) ROK XXIII

26 PAŹDZIERNIKA 1980 R.

CENA 3 ZŁ

W NUMERZE: ■ Nad czym pracuje Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej ■ Co się dzieje w służbie zdrowia ■ Do rządu i do samorządu ■ Jak widzą wyjście z kryzysu ■ Miasto przed zimą. ■ Estradowy cyrk

KONRAD FREJDLICh

INNY SCENARIUSZ

Motto:

„Zycze współpracy w zaufaniu i zaufania we współpracy”.

Józef Tejchma

Podstawową przyczyną zwolania Nadzwyczajnego Zjazdu Stowarzyszenia Filmowców Polskich były nieprzemyślane decyzje rządowe sprowadzające się do na tyle drastycznych cięć w budżecie kinematografii, że zagrażało to wprost materialnym podstawom istnienia sztuki filmowej w Polsce. Na szczęście decyzje te zostały w porę cofnięte, nie bez osobistego udziału i sekretarza KC PZPR Stanisława Kani, toteż dramatycznie zapowiadający się zjazd SFP miał zupełnie inny scenariusz. O spotkaniu przedstawicieli środowiska filmowego ze Stanisławem Kaną i zrozumieniu wagi kultury przez nowe kierownictwo partyjne mówił z satysfakcją Andrzej Wajda przedstawiając w swoim wystąpieniu zadania stowarzyszenia. Polityczny sens tych działań ujmuje chyba najlepiej uchwalony podczas obrad „Manifest”, który stwierdza m.in.:

„Z nadzieją witamy głębokie przemiany polityczne i społeczne zachodzące w naszym kraju, widząc w nich szansę Polski i szansę socjalizmu w Polsce. Wyrażamy nasz szacunek i uznanie dla tych oddziałów klasy robotniczej, których czyn w historycznych dniach lipca i sierpnia 1980 r. pchnął Polskę na drogę odrodzenia. Kierujemy swoją solidarność z tymi ludźmi, kierownictwa partii, którym przypisuje należyte autorstwo VI Plenum KC PZPR, i którzy wzięli na siebie odpowiedzialność za wprowadzenie Polski na drogę reform demokratycznych, zabiegając przy tym o opanowanie chaosu gospodarczego i wyrwanie kraju z obecnego głębokiego kryzysu. Pragniemy uczestniczyć w tych przemianach i do takiego uczestnictwa wzywamy wszystkich ludzi sztuki, wszystkie środowiska artystyczne i kulturalne. Chcemy być partnerem tych przemian, słuchać głosu uczciwych ludzi w naszej ojezynie i walczyć o to, aby także głos naszej sztuki był przez nich słyszany.”

Dokument ten, chociaż nie jest syntetycznym ujęciem głosów w dyskusji na zjeździe, daje wszakże wyraz temu, czym żyje dziś środowisko filmowe. Sama dyskusja biegła bowiem zakosami. Mniej w niej było tego, co można określić jako deklaracje ideowe, więcej zaś sporów o drobiazgi, o takie czy inne sformułowanie statutowe, o brzmienie słów. Sprawili to czysto roboczy charakter spotkania i żarliwie forsowana przez prezydium wola załatwienia wszystkiego w ciągu jednego dnia obrad.

Zdaniem prezesa Wajdy organizacja kinematografii w Polsce wymaga radykalnych zmian. Przede wszystkim musi być bezwzględnie przestrzegana zasada współpartnerstwa na wszystkich szczeblach decyzji, gdzie rozstrzyga się sprawy kinematografii, musi mieć swój znaczący głos Stowarzyszenie Filmowców Polskich. Współpartnerstwo to musi mieć swoje instytucjonalne konsekwencje. Powołane po roku 1956 zespoły realizatorów filmowych, które w pełni zdążyły egzamin jako forma samorządu twórców, wymagają w nowych warunkach jeszcze większej samodzielności zarówno w dziedzinie programowania jak i ekonomiki. Doświadczenia organizacyjne fabularzystów należy teraz przenieść na krótki metraż tworząc nowe zespoły przy wszystkich wytwórniach. Przyczynić się to może do poprawy sytuacji filmu oświatowego, dokumentalnego czy animowanego wyzwalając twórcze inicjatywy. Potrzebny jest bowiem wzrost ilościowy filmów zapewniający pracę całemu środowisku w sytuacji, gdy środki na produkcję filmów nie będą zwiększone. Musi także nastąpić radykalna poprawa pracy administracji kinematografii, odpowiedzialnej dziś za stan kin w Polsce, za słabe wyposażenie techniczne wytwórni, a przede wszystkim za nieadekwatność sposobów zarządzania w stosunku do wymogów rzeczywistości.

I tu Wajda, przedstawiając sal' wyrzutowy na kartce schemat organizacyjny kinematografii, zademonstrował przez odwrócenie jej „do góry nogami” na czym ta przemiana ma polegać.

Powitany więcej niż ciepłymi okłaskami nowy minister kultury i sztuki Józef Tejchma

przypomniał z trybuny zjazdowej, że alternatywa Polski dobrze rządzonej jest Polska cierpiąca. W budowaniu Polski dobrze rządzonej może i powinno mieć swój udział środowisko filmowe. Wymaga to rzeczywistego wzbogacenia wypowiedzi i przeciwstawienia się pozycjom monopolistycznym w czym najpoważniejszą rolę odegrać mogą wzmocnione zespoły realizatorów. Cytując Jerzego Putramenta, minister Tejchma zdefiniował przy pomocy paradoksalnego sylogizmu istotę monopolu administracyjnego, który paraliżował skutecznie rozwój twórczości:

Dobrze jest, jeśli przedstawiciele władzy lubią sztukę.

Dobrze jest, jeśli przedstawiciele władzy lubią określony rodzaj sztuki.

Nie jest dobrze, jeśli przedstawiciele władzy preferują sztukę, którą lubią.

Aby zapobiec podobnym sytuacjom mecenat państwowy musi być mecenatem rzeczywistym, to znaczy nie krępującym swobody wypowiedzi. Administracja tylko w rzeczywiste skrajnych sytuacjach może sobie rezerwować prawo weta.

W związku z tym prawem weta, pojmowanym chyba dotychczas zbyt dosłownie przypomniano natychmiast filmy zatrzymane przez cenzurę i od lat leżące na półkach. Część z nich została ostatnio wyemitowana w telewizji, część weszła na ekrany kin, ale magazyny w dalszym ciągu są pełne.

Do problemu tego ustosunkował się resortowy wiceminister Antoni Juniewicz. Filmy, które zostały zatrzymane, jest około dziesięć. Ponieważ wiceminister odesłał zainteresowanych do „Sztandaru Młodych” (nietablene dziennikarz „SM” zapomniał napisać, że informacje otrzymał telefonicznie i nazwał swój tekst na wyrost „wywiadem”) zajrzyjmy i my do publikacji „Filmy z półek”. Na tych półkach od roku 1968 znajduje się film Jerzego Skolimowskiego „Rece do góry” stanowiący rozrachunek z pokoleniem ZMP. Film wejdzie na ekrany, po dokrętkach zaproponowanych przez autora, który chce, aby jego utwór był w pełni aktualny a nie tylko archiwalny. Wprowadzony zostanie na ekrany, przetrzymywany od roku 1971, film Janusza Kilowskiego „Indeks”. Dalszy przykład filmu zatrzymanego to „Pięć i pół bladego Józka” Henryka Kluby. Podjęte także zostaną prace nad filmem „Na srebrnym globie” Żulawskiego, które przerwano kilka lat temu ze względu na przekroczone koszty produkcji. Wiceminister Juniewicz wymienił także liczbę trzydziestu zatrzymanych filmów dokumentalnych, wśród nich takie obrazy jak „Stolarz” Wojciecha Wisniewskiego i „Krowom niebo do pyska” Jerzego Ziarnika.

Kiedy się dziś ogląda przetrzymywane latami filmy — jest to już osobista refleksja piszącego te słowa — zastanawiają nie zrozumiałe najczęściej powody, blokujące ich drogę na ekran. Część z nich po prostu wyblakła, choć nie sprawił tego upływ lat, gdyż jeszcze silniej od cenzury działała autocenzura (czytaj konformizm).

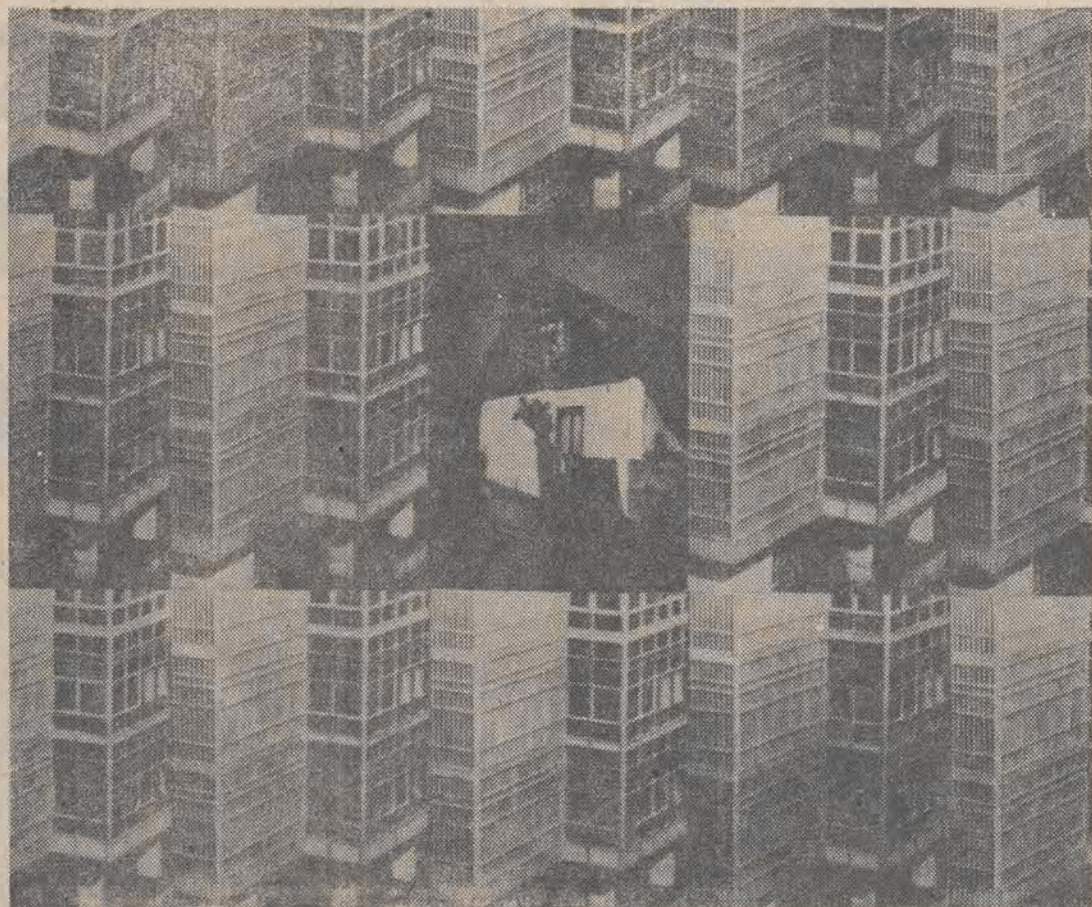
Tego zarzutu na pewno nie można postawić filmowi Andrzeja Chodakowskiego i Andrzeja Zajączkowskiego „Robotnicy 80”, zrealizowanemu w Stoczni Gdańskiej podczas sierpniowego strajku. O ten film upomniał się w swoim wystąpieniu Andrzej Wajda i inni mówcy, przedstawiciel NSZZ „Mazowsze” zaapelował wprost do siedzącego na sali sekretarza KC Jerzego Waszczuka, ale najżarliwiej o szerokie rozpowszechnienie gotowego już obrazu nawoływał jeden z jego bohaterów, młodutki przedstawiciel Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Stoczni Gdańskiej Stanisław Borowczak, który przyjechał do Warszawy wraz ze swym kolegą Bogdanem Felskim.

W odpowiedzi wiceminister Juniewicz stwierdził, że decyzja o wprowadzeniu „Robotników 80” na ekrany już zapadła, rozważany jest tylko wciąż jeszcze sposób rozpowszechniania, co tylko częściowo zadowoliło sale.

Odpowiedni punkt uchwalonej na zjeździe rezolucji głosi bowiem:

„Domagamy się jak najszybszego wprowadzenia na ekran oraz szerokiego rozpowszechniania filmu „Robotnicy 80” oraz przyznania mu debitu na zagranicę”.

Dalszy ciąg na str. 8



„Miasto przed zimą” (2). Czytaj str. 4

WIDĄC TAKIE TU OBYCZAJE...

SŁAWOMIR DARZYCKI

Jeżeli dyrektorowi „Estrady Łódzkiej” moja obecność na obydwu październikowych zebraniach związkowych pracowników tej instytucji była aż taka solą w oku, to trzeba mnie było albo nie wpuścić na salę — albo z niej wyprosić, a nie w predestinacji zdaniu twierdzić, że nie wiadomo jakim prawem i po co tam się znalazłem.

Widać jednak kilka osób nie mogło się z tym faktem pogodzić jeszcze wcześniej (nie robilem ze swych zamiarów tajemnicy) — bowiem etatowy pracownik Estrady usiłował telefonicznie odwieść mnie od tego pomysłu. Również etatowy pracownik — już po fakcie — adwokat mi zawił, że „wypuszczono mnie w kanał”, że niepotrzebnie marnowałem czas itp. itd. Mimo wszystko ówczesnych kilkunastu godzin spędzonych w sali night-clubu przy ul. Narutowicza 28 absolutnie nie uważam za zmarnowane...

Zebranie, zwołane zresztą na życzenie pracowników — w przeważającej części poświęcone było codziennym troskom i kłopotom tej największej firmy branży rozrywkowej w województwie. Sporo krytycznych — i trzeba przyznać słusznych uwag — zgłoszono m.in. w kwestii transportu. Rzeczywiście, stan techniczny większości pojazdów jakimi wykonawcy dowożeni są na imprezy dawno już powinien zaprowadzić je na

złomowisko. Nie ułatwiają także pracy zerowe wręcz przydziały papieru wykorzystywanego do produkcji materiałów reklamowych. Z tego właśnie powodu dochodziło tu — i nieestety ma to miejsce nadal — do sytuacji, kiedy zespół koncertujący w terenie ma do dyspozycji dosłownie jeden „dyżurny” plakat. Podnoszone także kwestie braku np. maszyn do pisania oraz problem limitu zatrudnienia, co w kontekście wypracowywania własnego funduszu osobowego w jakimś stopniu może wpływać na hamowanie rozwoju przedsiębiorstwa.

Sporo krytycznych uwag skierowano pod adresem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, wskazując na sporadyczne tylko kontakty robocze, co wobec określonych trudności z jakimi mają do czynienia pracownicy Estrady — było dla zainteresowanych dodatkową przeszkodą w wykonywaniu obowiązków.

Przewodniczący zebrania — Stefan Kwaśniak, którego wybrano zresztą dopiero po pewnym czasie (co było i tak li tylko formalnością, jako że od samego początku, niejako z marszu, funkcję tę pełnił), wskazał także na znaczącą rolę prasy jako głównego informatora o imprezach organizowanych przez Estradę. Oberwano

Dalszy ciąg na str. 5

MARIA KĘPIŃSKA

REALIZM METAFORYCZNY

kowińskiego — 1977/78 — naga kobieta trzymająca w uścisku kark wypatroszonego byka. W obrazie zatytułowanym „Quo vadis?” (według H. Sienkiewicza) — 1979 r., sytuacja przedstawiona jest następująco: pochylony, szary robotnik pcha ciężką, z trybuny obłożoną czerwoną tkaniną obserwuje go również anonimowy, szary tłum.

Dalszy ciąg na str. 10

KRONIKA KULTURALNA

OSTATECZNY kształt pomnika stoczników, poległych w grudniu 1970 r., zatwierdził wiceminister kultury i sztuki, Wiktor Zin. Odstonienie — w 10 rocznicę wydarzeń, 16 grudnia br.

WE WROCŁAWIU, z inicjatywy miejscowych pracowników naukowych, artystów-plastyków i działaczy kulturalnych, powołany został społeczny komitet ukonkretnienia budowy rotundy dla ekspozycji „Panorama Radziwiłłowska”. W skład komitetu wchodzi m.in. uczeń Alfreda Jaha (przewodniczący), Aleksander Gleyszt, Olgierd Czerner i in.

ARESztOWANO byłego prezesa Komitetu do Spraw Radia i Telewizji Macieja Szczepańskiego oraz I zastępcę — Eugeniusza Patyka. W Radiokomitecie inspektorzy NIK kontynuują badanie działalności byłego kierownika. Prokuratura Generalna prowadzi intensywne śledztwo wyjaśniające okoliczności popełnienia nadużyć.

OBRADOWAŁ XXV Krajowy Zjazd Związku Zawodowego Pracowników Poligrafii. Po żywej burzliwej dyskusji zjazd w tajnym głosowaniu odrzucił przy 30 głosach przeciwnych, 4 wstrzymujących się i 4 nieważnych — wniosek o rozwiązanie związku. Wobec zdecydowanego stanowiska delegatów, z których przeszło 81 proc. wypowiedziało się przeciwko rozwiązaniu związku pracowników poligrafii, przedstawiciele NSZZ „Solidarność” uczestniczący w obradach jako goście oraz 13-osobowa grupa delegatów opuściła salę. Uczestnicy zjazdu dyskusji nad projektem nowego statutu. Stwierdza on, że ZPP przekształca się w powszechną, niezależną, samorządową organizację, której podstawowym celem jest reprezentowanie, obrona praw i interesów oraz godności ludzi pracy i ich rodzin.

„ŁODZI potrzebna jest galeria sztuki” — powiedział na łamach „Głosu Robotniczego” dyrektor BWA Bernard Kepier. Łódzkie Biuro Wystaw Artystycznych pozostawione jest warunkom niezbędnym do tego, by stało się ono prawdziwym centrum upowszechniania sztuki. Brak galerii, w której zmieściłby się wielkie ekspozycje (też malarzy „Romantyzmu” czy „Polaków portret własny”) i wszystkie komórki niezbędne dla realizacji programu upowszechniania sztuki. Brak jest także sali projekcyjnej, biblioteki z dużą dokumentacją, sali na spotkania widzów z twórcami. Dyrektor Kepier postuluje — zgodnie ze światową tendencją — przeniesienie na te cele wnętrza pofabrycznych.

KOLEJNY rok działalności rozpoczęły kluby pracy kulturalnej województwa łódzkiego. Pierwszą inaugurację odbyła się w Bychawie koło Pabianic. Wyróżniono najlepiej pracujących „rodzajów klubów z Lipin, Róży, Dąbrowy, Bychawy i Parzęczewa.

Chyba dlatego, że na co dzień zajmują się teatrem, a być może i dlatego, że o ekonomii pojęcia mam takie, jak zainteresowany laik, to, co się dzieje ostatnio, zaczyna mi przypominać surrealistyczny happening. Nie zwierzałbym się z tego publicznie — bo cóż tam zwracać głowę Czytelników moimi osobistymi odczuciami — gdyby nie to, że w trakcie codziennych rozmów o stanie gospodarki, w jakich uczestniczę w domu, w pracy, wśród znajomych — a są pośród nich i ekonomiści — zyskałem przekonanie, że wrażenia podobne moim wcale nie są rzadkie. Przeciwnie.

Oto z czego się one biorą. (Nie zamierzam się tu zajmować całą obecną sytuacją, z wszelkimi jej uwarunkowaniami. Chcę, tak na chłopski rozum, porozmawiać o gospodarce). Jednym z zasadniczych powodów niezadowolenia społecznego, które przerodziło się w wystąpienia strajkowe, była, upraszczając, niezgodność między tym, co jest w kieszeni, a tym, co oferuje rynek. Nawet mając pieniądze (a byli, owszem i są, tacy, którzy mieli i mają ich zbyt mało), nie dawano się kupić nie tylko tego, na co by się miało ochotę i ewentualne pokrycie w portfelu, ale także tego, co jest po prostu niezbędne do życia. Takie były, łącznie z intencją wyrównania różnych dysproporcji płacowych, podstawowe motywy pierwszej fali strajków. Fala druga wzbogaciła te motywy o żądania polityczne, mówiące o konieczności wprowadzenia szerokiej demokratyzacji życia we wszystkich jego dziedzinach, sformułowała postulaty dotyczące powołania niezależnych, samorządnych związków zawodowych. W rezultacie podpisane zostały porozumienia między komisjami rządowymi i komitetami strajkowymi w Gdańsku, Szczecinie, Jastrzębiu. W drodze negocjacji ustalono wspólnie zakres i terminy realizacji postulatów.

Po drodze do „dziś” przeżyliśmy zatem euforię z powodu zakończenia ostrej formy kryzysu w stosunkach społeczeństwo — władza; przeżyliśmy jednak także trzecią falę strajkową, łącznie z niedawnym strajkiem ostrzegawczym, która miała zmyć ostatnie kłody z drogi porozumienia, jakie układali na niej jej przeciwnicy.

I tak doszliśmy do dziś. Sukcesywnie realizowane są podwyżki płac, wyniki z porozumień, jak i zgłaszane w poszczególnych branżach. Ceny podstawowych artykułów zostały zamrożone, ustalono też listę towarów „pod szczególnym nadzorem”. Państwowej Komisji Cen. Jednocześnie jednak ani o jeden punkt nie podskoczyła w skali kraju wydajność pracy. Efekt jest taki, że z większą

ilością pieniędzy w portfelu wchodzimy do coraz bardziej pustych sklepów.

Zgodnie z duchem i literą porozumień przygotowywane są dalsze porównania, wśród nich te, które zmierzają do skracania czasu pracy. Jaki będzie efekt?

Z coraz większym niepokojem jednocześnie oglądam i uczestniczę w tym happeningu, którego finał jest dla mnie a przecież nie tylko dla mnie, nieprzewidywalny. Bo tymczasem wymagania płacowe rosną, rosną odwrotnie proporcjonalnie do produkcji węgla, energii, tekstyliów, artykułów żywnościowych itd., itp. Nie mogę się oprzeć przekonaniu, że zamiast w obecnej sytuacji zaciśnięć zęby i zaciśnięć pasa, zaciśkami sami sobie na swoich szyjach pętle z pasów wyplat.

DO RZĄDU I DO SAMORZĄDU...

2. Dla nikogo już chyba dzisiaj nie jest tajemnicą, że negocjacje, jakie komisje rządowe prowadziły ze strajkującymi, były nie tylko niełatwe, ale i że — prowadzone były nie w tej, jaką było trzeba kolejności. Stosunkowo szybko wyrażano zgodę na postulaty płacowe, punktem neuralgicznym rokowań stały się zaś niezależne, samorządne związki zawodowe. W rozmowie z przedstawicielami Międzyzakładowej Komisji Robotniczej ze Szczecina, jaką opublikowała w ubiegłym tygodniu „Polityka” znajdujemy następujący passus:

„POLITYKA”: Czy chcecie panowie powiedzieć, że rząd nie powinien był pójść na ustępstwa płacowe?

M. JURCZYK: Powinien był pójść na ustępstwa w sprawie związków, do czego zresztą i tak doszło. Wydawało się w negocjacjach, że to ostatnia transeja, której za nic nie odda. A gdyby na samym początku rząd

powiedział: „niezależne związki zawodowe? ale proszę bardzo”, wówczas nie byłoby takich wygórowanych postulatów płacowych, zresztą negocjacje prowadziłyby już odpowiedzialny komitet nowych związków. Któż by żądał stu złotych, jeżeli pokrycia jest na 50?”

Tak, tak to chyba było. Ale dziś Niezależne, Samorządne Związki Zawodowe są faktem. Ludzie w nich zrzeszeni chcą być współgospodarzami swoich zakładów pracy, współgospodarzami swoich zakładów pracy, współgospodarzami kraju. A w kraju — było, jak było, ale i — jest jak jest. Jeśli chodzi o gospodarkę — niedobrze, bardzo niedobrze. Przygotowywana reforma (o głosach na ten temat piszemy w bieżącym numerze), może naszą gospodarkę wyprowadzić na prostszą drogę w przyszłości; ale

ka udźwignie szeroki zakres płacowych porozumień branżowych. A i dodatkowych żądań. Pytania nie tylko w stronę rządu, lecz i samorządu...

Nie ulega wątpliwości, że trzeba ulżyć doli tym, którym żyje się najciężiej, co najmniej jednak równie ważne jest przywrócenie równowagi między płacą a pracą, bez tego bowiem ekonomia sobie, a życie sobie. Tymczasem, jak stwierdził jeden z dyskutantów w poniedziałkowej dyskusji „Głosu Robotniczego”, kiedy mowa była o normach — normuje się u nas nie pracę, lecz właśnie płacę. Upraszczając — bardzo często płaci się pracownikowi nie za to, co wytworzył, lecz po to, aby mógł otrzymać określoną, obecnie — coraz większą — ilość pieniędzy.

Współgospodarze — związkowcy, zdają sobie sprawę z tej sytuacji, chyba lepiej niż ja, bezpośrednio bowiem uczestniczą w procesach produkcyjnych, w życiu zakład; lepiej niż ja wiedzą, jak u nas wygląda dyscyplina i poszanowanie pracy, a także — co z czego wynika. Ja osobiście wolałbym się mylić co do oceny stanu rzeczy, zarówno w szczegółach, jak i w stwierdzeniach ogólnych: wolałbym, żeby mnie ktoś przekonał, że jest inaczej, że jest lepiej niż sądzi.

3. W czerwcu, na długo przed strajkami, znalazłem się przypadkiem w jednym z łódzkich zakładów pracy, zaplatawcy się przy dyktando wizytującym koniec drugiej zmiany, któremu niezręcznie było pozbierać się mnie. Przy stanowiskach — sześćdziesiąt procent zalogi. Z agregatu pralniczego wychodzi tkanina poplamiona oliwą. — Co się dzieje — pyta dyrektor. — A, gdzieś tam coś kapie — odpowiada robotnik. Tkanina wychodząca z agregatu nawijana jest na coś w rodzaju wielkiej szpul. Zadanie jednego z robotników: pilnować, aby nawijana się równo, bo gdy jest inaczej, przy farbowaniu tworzą się smugi, niedodruki itp. Robotnik siedzi, patrzy i nie widzi, że co najmniej kilkadziesiąt metrów pójdzie w braki... itd., itp.

Nie był to żaden strajk, ale, tak na co dzień jest to chyba gorsze od strajku. Zalogi tej fabryki otrzymała, jak wszystkie zalogi przemysłu lekkiego, podwyżkę płac. — O ile wiem, pracuje wcale nie lepiej niż w czerwcu...

Surrealistyczny happening trwa nadal. Główni jego aktorzy deklarują się wielkimi słowami — które, nie powiem, są bardzo ważne — ale, jakby nie dostrzegali, że scena trzeszczy i skrzypi, chybocze się, że może runąć, zagluszając najwznioślejsze perory.

JERZY KATARASIŃSKI

TYDZIEŃ W POLITYCE

Zakończona debata generalna na 35 sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ wykazała, że lata osiemdziesiąte rozpoczęły się w świecie pod znakiem różnorodnych kryzysów politycznych i ekonomicznych, a także regresu w stosunkach między Wschodem a Zachodem. Przyczyny tego stanu są znane, jednakże w debacie generalnej, w której wystąpili przedstawiciele 152 państw, brzmiały one różnie.

Związek Radziecki i inne kraje socjalistycznej wspólnoty uważają, że zakłócenia w rozwijaniu się odprężenia wynikają głównie stąd, że w NATO są wpływy kół, które za wszelką cenę dążą do zachwiania istniejącej równowagi militarnej. Takie dążenie prowadzi wprost do nowego etapu wyścigu zbrojeń i gromadzenia jeszcze większych ilości najnowszych rodzajów broni, chociaż już spoczywające w arsenałach wystarczają do 15-krotnego zniszczenia kuli ziemskiej. Dlatego ZSRR uzupełnił proponowany porządek dzienny sesji punktem nt „pilnych środków zmniejszenia niebezpieczeństwa wojny”. Propozycja radziecka została przyjęta.

Z zadowoleniem można odnotować, że jedynomyślnie panowała w debacie w sprawie jak najszerszego ratyfikowania radziecko-amerykańskiego porozumienia SALT II i przystąpienia do kolejnych negocjacji — w sprawie SALT III. Praktycznie będzie to jednak możliwe po listopadowych wyborach w Stanach Zjednoczonych.

Wiele delegacji zauważało w dyskusji niedostateczny postęp prac w dziedzinie zawierania i kontrolowania porozumień nt. rozbrojenia, podkreślając, że w tej dziedzinie są duże oczekiwania narodów, gdyż problem rozbrojenia należy do najważniejszych i najpilniejszych.

Trzeba też stwierdzić, iż debata wykazała jedynomyślność poglądów co do politycznego rozwiązywania konfliktów, których obecnie na świecie nie ma. Nie spotkał się jednak z poparciem apel Muskiego aby uznać za ważne porozumienia z Camp David Układy egipsko-izraelskie potraktowane jako separatystyczne, nie służące całociowemu rozwiązaniu problemu bliskowschodniego. W rozstrzygnięciach uczestniczyć muszą bowiem wszystkie zainteresowane strony, w tym oczywiście Palestyńczycy. Zdaniem większości — powinni być oni reprezentowani przez Organizację Wyzwolenia Palestyny.

W drugiej połowie minionego tygodnia w Genewie rozpoczęły się radziecko-amerykańskie rozmowy w sprawie

ograniczenia pocisków nuklearnych „bezpośredniej obrony” w Europie. Rozmowy mają ścisły związek z grudniową sesją NATO i podjętą tam decyzją o rozmieszczeniu w zachodniej części naszego kontynentu amerykańskich rakiet średniego zasięgu. Według programu — ponad 500, kosztem 6 mld dolarów.

Jak wiadomo, w październiku 1979 roku ZSRR przestrzegali przed następstwami takiej decyzji i proponowali natychmiastowe rozmowy. W czerwcu 1980 r. — podczas wizyty w Moskwie kanclerza Schmidta — L. Breżniew oświadczył, że ZSRR zgadza się na podjęcie negocjacji bez wstępnych warunków, a we wrześniu Gromyko i Muskie uzgodnili, że rozmowy te rozpoczną się w październiku w Genewie.

Przebieg rozmów otoczony będzie z pewnością ścisłą tajemnicą. Wszystko wskazuje na to, że będą one trudne i długie. Jednakże już sam fakt ich rozpoczęcia niesie trochę optymizmu. Tym bardziej, że są to pierwsze radziecko-amerykańskie negocjacje od czasu wydarzeń w Afganistanie. Nawiazany więc został po dłuższym okresie dialog dwóch supermocarstw.

W minionym tygodniu zapoczątkowana też została kilkudniowa wizyta prezydenta Francji — Giscarda d'Estainga w Chinach.

Między Francją a Chinami istnieją głębokie różnice w polityce zagranicznej. Podczas, gdy pierwszy z krajów usilnie dąży do odprężenia i wykorzystuje po temu możliwości (raz jeszcze trzeba przypomnieć spotkanie L. Breżniewa i V. Giscarda d'Estainga w maju w Warszawie) o tyle drugi — zainteresowany jest eskalacją napięcia. Znaczący się to wyraźnie już w pierwszym dniu francuskiej wizyty w Pekinie. Dialog dwóch państw prowadzony więc jest z dwóch różnych pozycji.

W. ŚLAWSKI

DO CZŁONKÓW:

Stowarzyszenia Architektów Rzeczypospolitej Polskiej, Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków, Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu, Związku Kompozytorów Polskich, Związku Polskich Artystów Plastyków

w Łodzi

Członkowie Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich — uczestnicy Walnego Zebrania w dniu 8 października 1980 roku uważają za niezbędne nadanie form organizacyjnych powszechnym dążeniom do podniesienia roli Stowarzyszeń i Związków Twórczych w planowaniu i realizacji polityki kulturalnej w Łodzi, i występują z inicjatywą powołania Rady Stowarzyszeń i Związków Twórczych w naszym mieście. Zasadniczym zadaniem Rady byłoby wypracowywanie i prezentowanie opinii oraz wniosków na temat warunków rozwoju i powszechniania twórczości artystycznej w Łodzi. Członkowie Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich apelują do członków Stowarzyszeń i Związków Twórczych w Łodzi o aktywne uczestniczenie w realizacji tej inicjatywy.

Proponujemy aby poszczególne Stowarzyszenia czy Związki Twórcze reprezentowane były w Radzie przez 3 — 5 przedstawicieli. Sądymy, że po ukonstytuowaniu się Rada winna zaprezentować się prezydentowi miasta zgłaszając swą gotowość do współdziałania w planowaniu i realizacji polityki kulturalnej w Łodzi.

Sposób wyłonienia reprezentacji w Radzie jest oczywiście, sprawą decyzji każdego Stowarzyszenia czy Związku. Pisarze łódzcy swoich reprezentantów wyłonili drogą wyborów czyli wolą większości członków Oddziału. Mandatami reprezentantów ZLP — Oddział w Łodzi obdarzeni zostali: Dorota Chrościelewska-Kuźniak, Mieczysław Kucner, Władysław Orłowski, Mieczysław Szargan i Edward Szuster.

Naszej koleżance

dr EWIE NURCZYŃSKIEJ-FIDELSKIEJ

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

MATKI

składa, zespół „ODGŁOSÓW”

11 października 1980 r. zginął śmiercią tragiczną w wieku 24 lat

BOGUSŁAW KRZYSZTOF WOJTKIEWICZ

poeta

członek Klubu Młodych Pisarzy — „Wiadukt” przy ZŁ ZSMP.

Jego odejście jest dla nas bolesną stratą, część Jego pamięci, przyjaciele z Klubu Młodych Pisarzy — „Wiadukt”

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI KONRAD FREIDLICH, MAŁGORZATA GOŁICKA, JACEK INDEK, EUGENIUSZ IWANIKI, RYSZARD LUCYNSKI (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWICKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOJENHOFF, GRZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracują: ANDRZEJ BIAŁY, TADEUSZ BIAŁY, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, MARIA KĘPINSKA, WŁODZIMIERZ KRZYMINSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMANSKI, GIANC, JERZY WILMAŃSKI

„ODGŁOSY”: — Alojzy Dworniczak, kiedy zabierał głos na ostatnim plenarnym posiedzeniu Komitetu Łódzkiego PZPR, powiedział między innymi: — Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej w swej działalności zawsze kierowała się Statutem partii... Statut natomiast stwierdza: „członkowi partii nie wolno zatajać złego stanu rzeczy, zamykać oczu na niewłaściwe postępowanie, wyrządzające szkodę interesom partii, państwa ludowego i sprawie mas pracujących”. Członek partii powinien zwracać się w tych sprawach do swej organizacji partyjnej, a w razie potrzeby do wyższych instancji.

A. BALCERZYK: — Myśmy otrzymywali sygnały od ludzi. Przyszli do nas skargi, listy, anonimy. Ludzie nam sygnalizowali różne nieprawidłowości występujące w ich miejscu pracy. Pisał o różnych przykładach niegospodarności, wykorzystywaniu stanowiska służbowego dla celów prywatnych, o swinstwach robionych innym ludziom, o bogaceniu się różnymi sposobami. Każdy sygnał był dokładnie sprawdzany. Muszę powiedzieć, że gdzieś 20-30 procent anonimów pokrywało się z prawdą.

Nie można zatem powiedzieć, że ludzie a w tym przecież i członkowie partii, przechodzili obojętnie wobec różnych przejawów zła. Co innego, że robili to w listach i anonimach, a nie w sposób jawny. Nie było jednak do tego klimatu.

A. DWORNICZAK: — Mówiłem w czasie obrad Komitetu Łódzkiego partii, że w okresie trzech kwartałów 1980 roku wpłynęło do nas 204 sprawy. W 113 zarzuty nie potwierdziły się, w 20 przypadkach zarzuty potwierdziły się, ale sprawy nie wymagały żadnych partyjnych sankcji, więc przeprowadziliśmy tylko rozmowy ostrzegawcze, zwracając członkom partii uwagę na niewłaściwe postępowanie, natomiast w 71 przypadkach zarzuty potwierdziły się i wszczęliśmy postępowanie.

Ale już od początku października, a więc przez 18 dni, wpłynęło do Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej 60 spraw, w tym 21 anonimów. Jakże z tego wyciągam wnioski? Przede wszystkim, że ludzie mają zaufanie do komisji kontroli partyjnej, po drugie — że powstał klimat sprzyjający ujawnieniu wszelkiego zła, i nieprawidłowości. I po trzecie — że jeszcze w partii nie ma takiego klimatu, aby ludzie mogli, chcieli mówić o tym wszystkim, co uważają za złe, otwarcie, publicznie, na zebraniu partyjnym.

J. STEPIEN: — Dlaczego ludzie mają zaufanie do komisji kontroli partyjnej? Dlatego, że zawsze do komisji kontroli partyjnej byli wybierani ludzie, którzy mają ogromną przeszłość życiową i partyjną, przeszli przez ogień i wodę w swoim życiu i są wyczerpani na sprawy ludzi. Nigdy w komisji kontroli partyjnej nie mieliśmy innego celu, jak dobro partii, jak obronę jej przed różnymi złymi i przypadkowymi ludźmi, którzy swoimi czynami i postawami kompromitowali i kompromitują partię. Partia według teoretycznego założenia, co sprawdzało się w praktyce, kiedy się oczyszcza z ludzi nieodpowiednich rośnie w siłę. To szczególnie teraz ma ogromne znaczenie. Partia musi oczyścić się z ludzi, którzy przyszedli do niej przypadkowo i osłabiają ją swoim niezdeterminowaniem, brakiem ideowego zaangażowania oraz z tych, którzy przyszedli do partii, aby w ten sposób łatwiej osiągnąć swoje prywatne cele.

A. DWORNICZAK: — Komisję kontroli partyjnej stanowi duży zespół ludzi. Przewodniczący i wiceprzewodniczący, prezydium, plenum, zespoły orzekające, cały sztab specjalistów wysokiej klasy, którzy z nami współpracują, a z których wiedzy i ekspertyzy korzystamy, aby mieć pełny pogląd na daną sprawę.

„ODGŁOSY”: — Do komisji kontroli partyjnej wpływają sprawy duże, będące wyraźnym naruszeniem norm statutowych i sprawy małe, które wymagają tylko rozmowy ostrzegawczej. Czy można byłoby usłyszeć coś na temat tych spraw drobnych? O co tu chodzi?

A. BALCERZYK: — Taki przykład. Wpływają do nas sygnały, że w danej fabryce zawyża się ceny. Dyrektor powinien postępować zgodnie z określonymi przepisami, które regulują sposób ustalania cen. Ale jego jednostka nadrzędna naciska na wysokie wykonanie planu wartościowego. Najłatwiej to osiągnąć przez podwyższenie ceny. Jednostka nadrzędna akceptowała zawyżanie kalkulacji i ceny, ale była to działalność nieprawidłowa. Tylko, że ten dyrektor był jakby między młotem i kowadłem. Działal w określonym systemie. Jego wina była pośrednia. Dlatego wzywaliśmy go tu i przeprowadziliśmy z nim rozmowę ostrzegawczą, wykazując nieprawidłowość jego postępowania. Gdyby to się powtórzyło, to już musieliśmy stosować kary statutowe.

„ODGŁOSY”: — A większe sprawy?

A. DWORNICZAK: — Były sprawy o nadużycie stanowiska służbowego, niewłaściwą gospodarkę funduszem mieszkaniowym w przedsiębiorstwie, wyłudzenie mieszkania i oddanie go komuś z rodziny, kto w danym zakładzie nie pracował. Takich spraw było kilka. Ale jak do tej pory nie mamy sygnałów o wielkich aferach.

A. BALCERZYK: — Ale mogą być. Czasem z drobnego zarzutu może wyjść duża sprawa. Tego wykluczyć nigdy nie można.

J. STEPIEN: — Nie mamy żadnych spraw odołożonych, nie zwrócono nam z Centralnej Komisji żadnych spraw do ponownego rozpatrzenia. To znaczy, że działaliśmy prawidłowo, w sposób nieskrepowany, że nikt na nasze decyzje nie wywierał żadnego wpływu.

A. DWORNICZAK: — A były też rozpatrywane sprawy ludzi, którym mogło się wydawać, że mają „dobre powiązania”, rozległe koneksje rodzinne, co może im gwarantować bezkarność. Zostali ukarani tak, jak na to zasługiwali, zgodnie z postanowieniami statutu naszej partii.

A. BALCERZYK: — Była na przykład sprawa dyrektora zjednoczenia. Miał krewnych w różnych ministerstwach. Ukaran został tak, jak przewiduje statut partii. Złożył odwołanie do Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej, ale tam utrzymaliśmy naszą decyzję. Była prawidłowa. Bo wyciągnęliśmy z tego wnioski, że statutu, dobro partii i fakty, które jeśli dowodzą naruszenia statutu i dobru imienia członka partii, to musi za nie spotkać partyjna kara.

— Zgodnie z Uchwałą VI Plenum KC PZPR sprawdzać się teraz będzie „z punktu widzenia źródeł pokrycia wszystkie budzące wątpliwości prywatne inwestycje budowlane”, a także czy nie było nadużyć w rozprawianiu i wykorzystywaniu telefonów na samochody. Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej czeka z tego powodu wiele pracy.

A. DWORNICZAK: — Już to robimy. Jest to trudna i żmudna praca.

A. BALCERZYK: — Ale nie możemy się od niej uchylać. W ogóle, to chcielibyśmy, aby krensj komisja kontroli partyjnej nie miała nie do roboty, abyśmy byli bezrobotni, bo to by wówczas znaczyło, że w partii dzieje się wszystko dobrze. Niestety, wiemy, że tak nie jest.

A. DWORNICZAK: — Chodzimy przecież na zebrania, przysłuchujemy się, co ludzie mówią. Sami mówimy.

„ODGŁOSY”: — I jakie są wasze spostrzeżenia?

J. STEPIEN: — Ja byłem na zebraniu partyjnym w Instytucie Motoryzacji. I okazuje się, że jesteśmy bardzo potrzebni na takich zebraniach. Słuchałem dyskusji. Ludzie domagali się, aby więcej im dać, aby bogatszy był program spraw społecznych. Mniej natomiast mówiono na temat, co oni mogą i powinni zrobić, aby było z czego dawać. Zwróciłem im na to uwagę. I rzeczywiście, dyskusja zmieniła swój charakter. Zaczęto się zastanawiać, co organizacja partyjna powinna zrobić, aby sytuacja zmieniła się i rozwijała we właściwym kierunku, co zrobić, aby poprawić stan gospodarki. I taki powinien być kierunek dyskusji.

czniej działać w nowych warunkach, wsłone nie łatwych. Skoro warunki są inne, bardziej złożone, to i metody muszą być inne, bardziej skuteczne. Nie chce przez to powiedzieć, że administracja pracuje źle. Nie, ale chciałoby się, aby na pewne sytuacje reagowała skuteczniej i szybciej.

A. BALCERZYK: — Popatrzmy na niektóre postulaty. Jest wśród nich wiele takich, których w ogóle nie powinno być, które można było już dawno załatwić, bo nie wymagały żadnych nakładów finansowych, a tylko sprawnego działania, zmian organizacyjnych. Ale jeśli takie postulaty zostały już zgłoszone, to też trzeba szybko je realizować a nie zwlekać.

„ODGŁOSY”: — Na te wszystkie zjawiska musimy ofensywnie i żywo reagować organizacja partyjna. Musi po prostu umieć je właściwie oceniać.

A. DWORNICZAK: — Wiele spraw, które my tu załatwiamy, przy dobrej pracy organizacji partyjnej w ogóle nie powinno trafiać do komisji kontroli partyjnej, a powinno być załatwionych w organizacji partyjnej.

J. STEPIEN: — W organizacji partyjnej, na ze-

przecież na zebraniach partyjnych. Obserwowaliśmy ich przebieg, słuchaliśmy, jak ludzie występują. A czy w tych zakładach pracy, gdzie byliśmy na zebraniach, nie było nieprawidłowości. Były.

J. STEPIEN: — I myśmy o tym wiedzeli.

A. BALCERZYK: — Czuliśmy to. Ale ludzie o tym nie mówili. Myśmy nie spotkali się wtedy z jawnym tłumieniem krytyki, za które można byłoby karać zgodnie z postanowieniami statutowymi.

J. STEPIEN: — Jak ktoś wystąpił z krytyką, to mu nawet za to podziękowano, pochwalono, ale i zapamiętano go sobie. Od tej pory ten krytykujący był pod pilną obserwacją i niech no tylko coś zrobił nie tak, wtedy dostawał mu się za krytykę.

A. BALCERZYK: — To nie znaczy, że jak do komisji kontroli partyjnej przyszedł sygnał nawet o nieśmiałym tłumieniu krytyki, myśmy to stwierdzali, że winny tego nie otrzymywał kary partyjnej.

A. DWORNICZAK: — Zdarzały się przecież i takie przypadki, że człowiek nagaład, ile tylko wlaźło, wysłuchano go, a skutek był żaden.

A. BALCERZYK: — To też był sposób tłumienia krytyki. Pamiętałem zebrania przed VIII Zjazdem partii. Iż nam wtedy nawytkano, że dokonuje się reprivatyzacja, zlikwidowano przemysł drobny, a potrzeby rynku sprawiają, że produkcję tę oddaje się w prywatne ręce i wiele takich innych słusznych zarzutów. To też była krytyka.

„ODGŁOSY”: — Którą dokładnie nikt się nie przejął.

J. STEPIEN: — Ja bym chciał wrócić jeszcze do spraw odwagi. Mówimy, że teraz ludzie nie mają odwagi. A przecież w latach czterdziestych też potrzebna była odwaga. I jej nie brakowało. Wtedy sytuacja była znacznie trudniejsza, bo trzeba było głowę nadstawić i można ją było stracić. A co dziś?

A. BALCERZYK: — Dziś najwyżej można stracić stanowisko.

J. STEPIEN: — Dlaczego tak było, że ludzie nie bali się nadstawić głowy? Bo wówczas partia była silna ideowo. Dziś jest inaczej.

A. BALCERZYK: — Wtedy była to partia kadrowa, dziś jest partia masowa. To już zupełnie coś innego. Często zastanawiam się, dlaczego ludzie zabartowani w bojach, którzy w niejednych tarapatach byli i zwycięsko z nich wychodzili, zrobili się też mało odważni, nie występowali publicznie z krytyką. Oni może by i wystąpili, ale obawiali się, że ich towarzysze którzy po kątach gadają, na zebraniu nabiorą wody w usta i nie poprą ich, nie wspomoga. To ludzi paraliżowało.

„ODGŁOSY”: — W naszej rozmowie zaczyna się rysować pewien problem, który w moim przekonaniu jest najważniejszy. To odpowiedź na pytanie: jak postępować, jak działać w partii, aby taki głęboki kryzys więcej się nie powtórzył? Jest to pytanie o gwarancje. Ludzie zadają je sobie i szukają na nie odpowiedzi. A ja myślę, że odpowiedź jest bardzo blisko każdego członka partii, trzeba sięgnąć po prostu po statut PZPR. Ot, choćby taka zasada: członek partii ma prawo „omawiać i krytykować na zebraniach partyjnych pracę lub postępowanie każdego członka i działacza partii”. Ale, żeby ta zasada i inne wpisane do statutu partii mogły być realizowane musi zebranie partyjne nabrać swoich właściwych treści, zmienić się musi jego relacja.

A. BALCERZYK: — Zwracaliśmy już uwagę, że na każdym zebraniu musi być punkt, w którym poinformuje się członków partii o tym, co zrobiono z wnioskami i postulatami z poprzedniego zebrania, drugi — w którym poinformuje się, co robiła między zebraniem egzekutywa. I co? I nic. Zwyklieliśmy stare nawyki. A te nawyki doprowadziły do tego, że zebrania zostały sformalizowane, że wygłaszano na nich hasła i ogólniki. Mamy przecież ludzi wykształconych, czytających, słuchających radia, oglądających telewizję. Każdy powinien zapoznać się z tym, co mówi się w wyższych instancjach, przeczytać o tym w gazecie. A na zebraniu trzeba odpowiedzieć na pytanie: jakie wnioski z różnych uchwał wynikają dla naszej organizacji? Co mamy w związku z tym i jak robić? I później konsekwentnie sprawdzić, czy te wnioski i zadania są realizowane. Mówię sobie w oczy, kto i czego nie zrobił, kto i dlaczego pracuje źle. Taka partyjna rozmowa ma wielki sens wychowawczy.

J. STEPIEN: — Zastanawiam się nad tym, zastanawiając się nad tym inni, dlaczego przeżywamy taki głęboki kryzys? Sądzę, że dlatego, że partia została rozbrojona ideologicznie, ludzie odczytali się walki politycznej.

„ODGŁOSY”: — Ja myślę, że również dlatego, że formuła „partia kieruje, rząd rządzi” nie była przestrzegana od góry do dołu. Jest to bowiem formuła, którą musi realizować cała partia. Co to bowiem znaczy dla POP, że partia kieruje, a rząd rządzi? To znaczy, że POP na zebraniu partyjnym określa, ocenia, analizuje różne zjawiska społeczne, polityczne i gospodarcze. Ocena jest w sposób marksistowski, posługując się dialektycznym widzeniem świata, a następnie określa sposób postępowania wobec tych zjawisk. A tymczasem partia zajmowała się wszystkim, najmniej ideologią.

J. STEPIEN: — Partia brała na siebie odpowiedzialność za wszystko, również za administrację i wszystkie niepowodzenia skupiły się teraz na partii.

Albo inna sprawa. Uchwała. Jakie znaczenie ma uchwała w życiu partii? Stanowi wytyczną dalszego działania. A ileż uchwał zostało podjętych z myślą, że właśnie w chwili ich podejmowania zakończono sprawę. Powinno być przeciwnie — uchwała ją zapoczątkowała.

„ODGŁOSY”: — To już są nawyki ukształtowane latami praktyki. Ale mimo to nie można rezygnować z walki z tymi nawykami i chyba bronia w tej walce jest statut PZPR. Musi on być przez każdego i zawsze przestrzegany. Tylko co zrobić, żeby tak było.

J. STEPIEN: — Potrzeba do tego wysokiej ideowości. Trzeba mieć odwagę, aby postępować zgodnie ze statutem. Musimy zatem odbudować ideowość partii, uzbroić ją ideologicznie i musimy nauczyć się prowadzenia walki ideologicznej i politycznej.

A. DWORNICZAK: — A my ze swej strony powinniśmy jeszcze wnikiwiej strzec zgodności postaw ze statutowymi normami życia partyjnego. Nasze stanowisko w tej sprawie jest jasne. Każdy przypadek nieuczciwości, nadużycie będzie wnikiwie badany. O wynikach będziemy informować na plenarnych posiedzeniach Komitetu Łódzkiego partii.

Rozmawiał: LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W poprzednim numerze „Odgłosów” opublikowaliśmy pierwszą część dyskusji o stanie miasta przed zimą. Zorganizowaliśmy ją wspólnie ze Zjednoczeniem Gospodarki Komunalnej. Obecnie publikujemy dyskusję część drugą.

W rozmowie udział wzięli:

Zdzisław Gajster — naczelnik wydziału w Dyrekcji Okręgowej Dróg Publicznych,

Stanisław Karbowy — wiceprezes Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej,

Józef Korkosiński — zastępca inżyniera województwa w Zakładzie Korelacji Usług Komunalnych,

Zygfryd Kwiatkowski — dyrektor Zakładu Energetycznego Łódź-Miasto,

Andrzej Sobierajski — inżynier województwa w Zakładzie Korelacji Usług Komunalnych,

Stefan Spryszyński — dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania,

Zdzisław Sztyda — dyrektor Zespołu Elektrociepłowni im. Włodzimierza Lenina,

Paweł Walczak — dyrektor Zakładu Sieci Ciepłej,

Wiesław Zajdler — zastępca dyrektora Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej,

„ODGŁOSY” reprezentowali: **Bogda Madej** i **Jacek Indelak**.

Pierwsza część naszej rozmowy poświęcona była energetyce i ciepłownictwu. Część drugą poświęcamy sprawom związanym z mieszkaniem. Zastanawialiśmy się nad tym, czy zrobiono wszystko, aby w naszych mieszkaniach było zima ciepło. A jeśli nie, to co jeszcze trzeba i można zrobić?

S. KARBOWY: — Są to jakby dwie różne sprawy. Pierwsza — to co od nas zależy. Druga — na co wpływu nie mamy. Na przykład przemierzanie szczytowych ścian w blokach. Tutaj spółdzielnie mieszkaniowe są bezradne. Mamy 200 budynków z przemierzającymi szczytami.

„ODGŁOSY”: — Gdzie są te budynki?

S. KARBOWY: — Znajdują się one w osiedlach: Łęczycka — Przedziałowa, Widzew, Retkinia, Inflancka i Sądowa. To domy budowane systemem „WK”.

Według określonych norm współczynnik przenikania ciepła powinien wynosić 1,7—1,9, a faktycznie, w niektórych elementach budowlanych dochodzi do 2,5. Trzeba zatem stosować takie metody ocieplania, aby ciepło nie uciekało z mieszkań szczytowych. Jest to problem nie tylko Łódzki. Szuka się wszędzie różnych sposobów przeciwdziałania. Skuteczność jeszcze nie opracowano. Błąd tkwi w wykonawstwie tej technologii i jakości materiałów.

Technologia „WK” sprawdzana była w warunkach laboratoryjnych, kiedy zakładano idealne wykonanie. W praktyce jest inaczej. W praktyce mamy wiele pretensji pod adresem wykonawców. Jeśli elementy szczytowe są źle wykonane, a budynki już stoją, to trzeba je dodatkowo ocieplić.

„ODGŁOSY”: — Czy ak się nadal buduje?

S. KARBOWY: — Tak. Nadal buduje się z niewłaściwych elementów. Warstwę ocieplającą robi się z niewłaściwych materiałów. Mają one nadmierną kurczliwość i dlatego powstają miejsca, w których występuje przemierzanie.

„ODGŁOSY”: — A co na to wykonawcy?

S. KARBOWY: — Zaproponowali stosowanie podwójnej warstwy ocieplającej. Zasięgnęliśmy opinii fachowców. Ich zdaniem nie jest to żadne rozwiązanie. Jeśli bowiem jedna warstwa daje współczynnik przemierzania trzy razy większy od dopuszczalnego, to podwójna warstwa też niewiele pomoże.

„ODGŁOSY”: — Czy to znaczy, że tego problemu nie można rozwiązać?

S. KARBOWY: — Można. Pod warunkiem, że budownictwo będzie dysponować właściwymi materiałami, z których tworzy się warstwy ocieplające.

„ODGŁOSY”: — To co temu przeszkadza?

S. KARBOWY: — Budownictwo skupiło w swoim ręku wszystkie decyzje. Doprowadzono to do absurdu. Resort budownictwa nie tylko sam decyduje o tym, jakie materiały mają być wykorzystywane, ale także wydaje opinie o tym, czy budynek jest prawidłowo realizowany...

„ODGŁOSY”: — To jakie są prawa spółdzielczości mieszkaniowej?

S. KARBOWY: — Mamy do wyboru: albo przyjąć to, co nam daje

budownictwo, mając świadomość, że 10 proc. budynków będzie nie do grzanych, albo nie wprowadzać tam ludzi.

Aby budownictwo osiągało dobrą jakość, inwestor i wykonawca muszą być równorzędnymi partnerami. Tymczasem zlikwidowano nawet nadzór inwestorski, aby nikt nie przeszkadzał budownictwu... Obecnie inwestor może zgłaszać swoje uwagi, ale nie ma prawa podejmowania decyzji. O ocenie jakości decyduje komisja resortu budownictwa.

„ODGŁOSY”: — Wykonawca ocenia sam siebie?

S. KARBOWY: — Tak to wygląda w praktyce. Problem jednak jest głębszy. Dotyczy bowiem producenta elementów budowlanych. Przedsiębiorstwo wykonawcze powinno mieć prawo odmówić przyjęcia elementów budowlanych, jeśli są one

źle wykonane. Ale przedsiębiorstwa budowlane, żeby wykonać plan, przyjmują wszystko, co im się daje i tak powstaje błędne koło.

Teoretycznie inwestor może nie przyjąć budynku. Tu jednak działa nacisk społeczny. Nie przyjmujemy, to zaraz w telewizji pokażą, że budynek gotowy, a my go nie przyjmujemy. Dlatego, o to już nikt nie pyta.

„ODGŁOSY”: — Jeśli jednak wady już są, to ktoś je musi przecież usunąć. Kto to ma zrobić? Jakże są szanse, że wykonawca się tym zajmie?

S. KARBOWY: — Jeśli sami sobie nie pomożemy, to nie wiemy, kto nam pomoże. Proszę wziąć pod uwagę, że obecnie budujemy w Łodzi o 6,050 mieszkań mniej niż 3 lata temu, a i z tym są trudności. Nie możemy więc liczyć na budownictwo. Wspólnie z Zarządem Rozbudowy Miasta rozważaliśmy ten problem i doszliśmy do wniosku, że usuwanie wad musi potrwać co najmniej 3 lata.

„ODGŁOSY”: — Funkcjonuje chyba jakiś system nacisku na budownictwo?

S. KARBOWY: — Tak. Wykonawcy płacą po 16 milionów kar rocznie, ale wad nie usuwają. Od dawna dysponujemy planami usuwania różnych wad, ale są to tylko plany. Nadal nie wiemy, czy spółdzielczość mieszkaniowa będzie na tyle silna, aby wymóc na przedsiębiorstwach budowlanych realizację wspólnie ustalonych postanowień.

„ODGŁOSY”: — Wiele jednak spraw zależy od was. W niektórych budynkach na przykład przeciekają dachy.

S. KARBOWY: — Chcemy jeszcze w październiku uporządkować wszystko, co jest do zrobienia w klatkach schodowych. Brakuje jednak materiałów. Jeśli na przykład w okienkach piwnicznych będzie brakowało szyb, a sporo ich brakuje, to będziemy zabijać je dyktą. Chodzi po prostu o to, aby ciepło nie uciekało z budynków. Wiele w takich przypadkach — poprzez zgłoszenia — może pomóc samorząd mieszkańców i sam mieszkańcy.

W. ZAJDLER: — My w gospodarce komunalnej, mamy podobny problem. Wiadomo, że w znacznej części administrujemy budynkami starymi. Stąd i potrzeby są większe. Do 30 września 1980 roku pokryliśmy dachy w 1.843 budynkach. Pozostały nam do remontu dachy w 819 budynkach. Ale w 769 budynkach nie ma kto wykonać tych prac. Tam, gdzie nie będziemy w stanie wyremontować całych dachów, chcemy przynajmniej zaizolować dachy. Co też nie jest takie proste.

Posłużyć się może danymi, o wyrażnie uwypuklił stan potrzeb i możliwości.

Potrzeba nam 538 tysięcy m kw. papy, przydział wynosi 128 tysięcy m kw. Dla zaspokojenia najbardziej pilnych potrzeb potrzeba jeszcze 80 tysięcy m kw. Podobnie sprawa węgla z lepikiem dachowym. Potrzeba na rok 1980 wynosiła 480 ton, przydział wynosi 100 ton, na najbliższe potrzeby musimy mieć co najmniej jeszcze 40 ton.

Zakres najpilniejszych robót wymaga oszklenia okienek w piwni-

cach, naprawy drzwi w klatkach schodowych, wymiany instalacji elektrycznych, przeczyszczenia studzienek w podwórkach, naprawy i wymiany pieców węglowych w różnych pomieszczeniach ogólnego przeznaczenia.

„ODGŁOSY”: — Czy dysponujecie odpowiednim wyposażeniem, aby te prace wykonać?

W. ZAJDLER: — Niestety nie. Na przykład szkła okienne na ten rok potrzeba nam 52 tysiące m kwadratowych, przydział wyniósł 16 tysięcy m kwadratowych, a najbliższe potrzeby wynoszą 20 tysięcy metrów kwadratowych. Inna sprawa. Potrzeba nam 10 tysięcy kuchni węglowych. Przydział opiewa na 500 kuchni, a najbliższe potrzeby wynoszą 3 tysiące kuchni węglowych.

I tak można mnożyć przykłady. Potrzeba nam na 1980 rok 2.031 ton

cementu, przydział wynosi 1.230 ton. Brakuje zatem 781 ton. Ale dla zaspokojenia najbliższych potrzeb potrzeba 100 ton cementu. Podobnie wygląda sprawa z samczymy kaczanami do drzwi od klatek schodowych, z cegłą, farbami olejnymi i emulsyjnymi.

„ODGŁOSY”: — A jak to wygląda w spółdzielczości mieszkaniowej?

S. KARBOWY: — W tym roku było do naprawy 1.200 dachów. Znaczną część z tego naprawiono. Pozostało około 360. Jak będzie sprzyjała pogoda, to załatwia się dziury, ale nie zrobimy już generalnych remontów. Muszę tu powiedzieć, że mamy dużo przecieków na dachach w nowych budynkach. Jest to — niestety — sprawa jakości używanych materiałów.

„ODGŁOSY”: — Czy to naprawia budowlani? I — następne pytanie — gdzie jest najwięcej dachów do naprawy?

S. KARBOWY: — Najwięcej jest na Widzewie. Około 60 dachów. Były kłopoty z „załatwieniem” materiałów. Teraz są materiały, ale naprawiać można wtedy, kiedy dachy są suche. A pogoda, niestety, nie od nas zależy.

„ODGŁOSY”: — Mówiliśmy do tej pory o przemierzających ścianach, ciekających dachach, wybitych szybach w piwnicznych okienkach, o nieszczelnych drzwiach w klatkach schodowych. Zakładamy, że część z tego zostanie naprawiona. Mówiliśmy uprzednio o kłopotach z dostarczaniem ciepła do domów. Ale i w samych mieszkaniach trudno czasem zimą wytrzymać...

S. KARBOWY: — Przy większych mrozach, jeśli nie udaje się nam zapewnić właściwego ocieplenia, temperatura w mieszkaniu może spaść do 13 stopni C.

„ODGŁOSY”: — I wtedy ludzie włączają różne grzejniki, aby utrzymać jakąś temperaturę. Trudno im się dziwić. Interesuje nas sprawa grzejników panelowych. Zainstalowano je w wielu mieszkaniach. Ilość awarii tych grzejników, to już w tej chwili kłęska. Ile paneli „sygnalizuje się” w zeszłym roku?

S. KARBOWY: — Około 10 tysięcy.

A. SOBIERAJSKI: — Ja słyszałem o 12 tysiącach.

„ODGŁOSY”: — Założmy więc, że jest to rząd 12 tysięcy. Czy istnieje taki zapas, aby można było w ciągu zimy wymienić kolejnych 12 tysięcy uszkodzonych grzejników panelowych?

S. KARBOWY: — Mamy w tej chwili zgromadzony zapas 7 tysięcy grzejników. Ale chodź, nie tylko o ilość grzejników. Jest awarii ulega grzejnik produkcji CSRS i mamy taki w zapasie, to nie ma z wymianą kłopotu. Ale jeśli takiego nie ma, to powstaje skomplikowany problem. Inne grzejniki, czy to żebkowe, czy panele produkcji polskiej, mają różne systemy podłączeń. Trzeba spawać, a tu brakuje gazów technicznych. Wiadomo — była awaria w Łódzkiej wytwórni gazów, o czym zresztą mówiliśmy w pierwszej części naszej rozmowy. Rozpoczęliśmy już wymianę grzejników panelowych i musieliśmy ją zahamować właśnie

z powodu braku gazów technicznych.

Tu muszę powiedzieć o czymś tylko z pozoru nie mającym nic wspólnego ze sprawą. O „załatwianiu”. Nie tak dawno powiedziano, że musimy skończyć z „załatwianiem”. To było piękne, ale nierealne. Nadal musimy „załatwiać”. Szukamy gazów technicznych po całym kraju.

„ODGŁOSY”: — Czyli nadal działamy metodą „uszczerki”?

S. KARBOWY: — Absolutnie tak. Gdybyśmy nie „załatwiali”, to musieliśmybyśmy rozłożyć ręce i powiedzieć: — Niech ludzie marzną. A tak powiedzieć nam nie wolno. Tylko, że to załatwianie wymaga czasu, to musi trwać.

„ODGŁOSY”: — Co to oznacza dla mieszkańców, którym zepsuł się grzejnik panelowy?

S. KARBOWY: — To oznacza czekanie. To oznacza też, że do mieszkań mogą wejść ludzie z aparatami spawalniczymi. A ludzie tego bardzo nie lubią. Chyba, że zamienia się panele na grzejniki żebkowe.

„ODGŁOSY”: — Jaka jest skala awarii grzejników panelowych?

S. KARBOWY: — Od rozpoczęcia sezonu ogrzewczego w 1980 roku mieliśmy już 600 awarii. Ale, żeby pokazać skalę problemu, powiem od razu, że do 1985 roku trzeba wymienić 300 tysięcy grzejników panelowych.

„ODGŁOSY”: — Gdzie należy spodziewać się nasilenia awarii grzejników panelowych?

S. KARBOWY: — Przede wszystkim na Retkini, Czerwonym Rynku oraz, w mniejszym stopniu, na Zarzewie.

P. WALCZAK: — Dla mnie sprawa ma szerszy aspekt. Nie bardzo mogę zrozumieć, jak to się stało, że produkujemy grzejniki o różnym rozstawieniu i rodzaju łączników. Istnieje przecież coś takiego jak unifikacja. Tu aż się prosi, żeby unifikację zastosować. Jest to w końcu sprawa projektantów i producentów. Decyzja powinna być natychmiastowa.

S. KARBOWY: — Słyszałem, że ilość produkowanych w kraju grzejników żebkowych w pełni pokryłaby nasze zapotrzebowanie. Nie trzeba byłoby instalować tych nieszczelnych paneli.

P. WALCZAK: — Ja mam inne dane. Mniejsza zresztą o to, jeśli nawet zaczęliśmy produkować grzejniki panelowe ze względów oszczędnościowych, to po prostu przedobrzyliśmy w oszczędnościach. Zamiast blachy o 5 mm grubości, stosowaliśmy 1 mm, w dodatku najbardziej ordynarną blachę, jaką posiadamy. Jest to blacha o tolerancji walcowania plus minus — 0,3 mm. Grzejniki panelowe mają więc blachę nierówną, w niektórych jej miejscach grubość jest mniejsza od 1 mm. Stąd przy tłoczeniu blachy powstaje pocienienie blachy. I o tym wszyscy wiedzą. Mimo to nadal produkuje się takie grzejniki. Pamiętamy, że stosowane pokrycia antykorozyjne są namiastką.

Co zatem robić? Specjaliści twierdzą, że gdyby przy wytwarzaniu tej blachy stosowano 1 proc. chromu, to jej wytrzymałość wzrosłaby 5-krotnie. Jeśli zatem teraz ustala się żywotność tej blachy na 3 lata, to przy 1 proc. chromu blacha wytrzymałaby — powiedziałby — 5 razy dłużej. Uważam, że 1 proc. chromu jest to wielkość, na którą nas stać.

„ODGŁOSY”: — Jest to słuszny postulat pod adresem producentów. Ale mamy taki stan, jaki jest. Mamy świadomość, że w blokach, gdzie są panele, będą awarie. I co wtedy? W mieszkaniu cieknie kaloryfer, wyzywa się pomoc. Służby techniczne najczęściej zakrecają dopływ ciepłej wody w całym pionie, często i w całym bloku. I ludzie marzną. Czy są jakieś szanse, aby taki stan zmienić?

S. KARBOWY: — W zasadzie tak. Zależy to od stylu pracy administracji. Teoretyczne metody postępowania zostały dokładnie opracowane.

„ODGŁOSY”: — Przyjmijmy, że jest tak istotnie. Ale, jak to wygląda w praktyce? Zgłasza się awaria, przychodzi specjalista, spuszcza wodę, wymienia grzejnik, jeśli to jest możliwe. Wpuszcza wodę i za dwie godziny wszystko zaczyna się od początku.

S. KARBOWY: — Ilość awarii, jak już mówiłem, jest duża. Przy tak dużej ilości awarii nie dysponujemy kadrą, które gwarantowałyby szybką i sprawną wymianę grzejników.

Jest tu duże pole do popisu dla samorządu mieszkaniowego. Muszą nam sygnalizować wszelkie nieprawidłowości w pracy ekip remontowych.

„ODGŁOSY”: — Pozostawiamy przy poprzednim pytaniu. Służby techniczne zajmujące się usuwaniem awarii grzejników same powodują następne awarie. W języku fachowym nazywa się to „udarem ciśnieniowo-temperaturowym”. Wynika to z niewłaściwego napełniania sieci. Robi się to pośpiesznie. Przecież to oczywiste, że jeśli w godzinę lub dwie po remoncie grzejnika psują się następne, i to po kilku od razu, to wiadomo, że to вина tych, którzy reperowali.

S. KARBOWY: — Brygady techniczne wiedzą, jak należy postępować w wypadku awarii. Zostały odpowiednio pouczone. Tylko samo pocięcie nie rozwiąże problemu. Potrzebne jest rozsądne działanie i myślenie wszystkich pracowników administracji. I kontrolowanie ich prac przez samych mieszkańców.

„ODGŁOSY”: — Mamy jeszcze jedną sprawę, z pozoru drobną, ale w konsekwencji bardzo istotną — łatwość dostępu do zaworów zamykających dopływ ciepłej wody do kaloryferów w danym pionie ogrzewczym.

S. KARBOWY: — Najczęściej mieszczą się one w indywidualnych komórkach. Jak kogoś nie ma w domu, wtedy powstaje cały kłopot. Ale tak zostały wybudowane bloki.

P. WALCZAK: — Zawór powinien być dostępny dla służb remontowych i innych. Można to przecieć już przewidzieć w projekcie.

S. KARBOWY: — Łatwy dostęp do zaworów powoduje jednak i takie sytuacje, że mieszkańcy sami regulują dopływ ciepła, a nie znając się na tym, uszkadzają zawory i rozregulowują całą instalację ogrzewczą.

A. SOBIERAJSKI: — Zupełnie nie rozumiem, dlaczego projektuje się w ten bezmyślny sposób. Przecież do projektów wprowadza się tyle przeobrażeń, że i to można byłoby zmienić. Czy spółdzielczość mieszkaniowa nie ma na to żadnego wpływu?

P. WALCZAK: — Ma wpływ, ma przecieć biuro projektowe w swoim ręku. Trzeba po prostu zlecić projektantom do rozwiązania.

A póki co, trzeba, aby klucze od tych piwnic, w których są zawory, były łatwo dostępne dla dozorców, czyli, jak to teraz mówimy, gospodarzy domu.

Mam zresztą wątpliwość, co w ogóle robią ci ludzie, których uparliśmy się nazywać gospodarzami domów, czy rzeczywiście są oni gospodarzami?

W. ZAJDLER: — To nie jest tylko ich wina. My na przykład, w domach podległych gospodarce komunalnej, wyposażaliśmy dozorców w niezbędny im sprzęt, a nawet zgromadziliśmy jego pewne zapasy. Gospodarze domów dostali też odzież ochronną. Ale są i kłopoty. Posiadamy 3.540 ton piasku, czyli załadowanie około 60 proc. ogólnego zapotrzebowania. Tylko, że i tego nie możemy dostarczyć na miejsce, bo nie mamy czym. Ale ludzie pretensje będą mieli do gospodarzy domów.

Inna jeszcze sprawa: kotłownia. Do tej chwili nie uruchomiliśmy 4 kotłowni, gdyż nie mamy palenisk. Potrzeba ich 356, brakuje 159. Mało tego. Według danych na koniec września 1980 roku zapas węgla dla kotłowni wynosił 27 proc. potrzeb i wystarczał na 47 dni, zapas miału — na 33 dni, a zapas koksu — na 52 dni, co w wypadku miału stanowiło 18 proc. potrzeb, a w wypadku koksu — 30 proc. potrzeb.

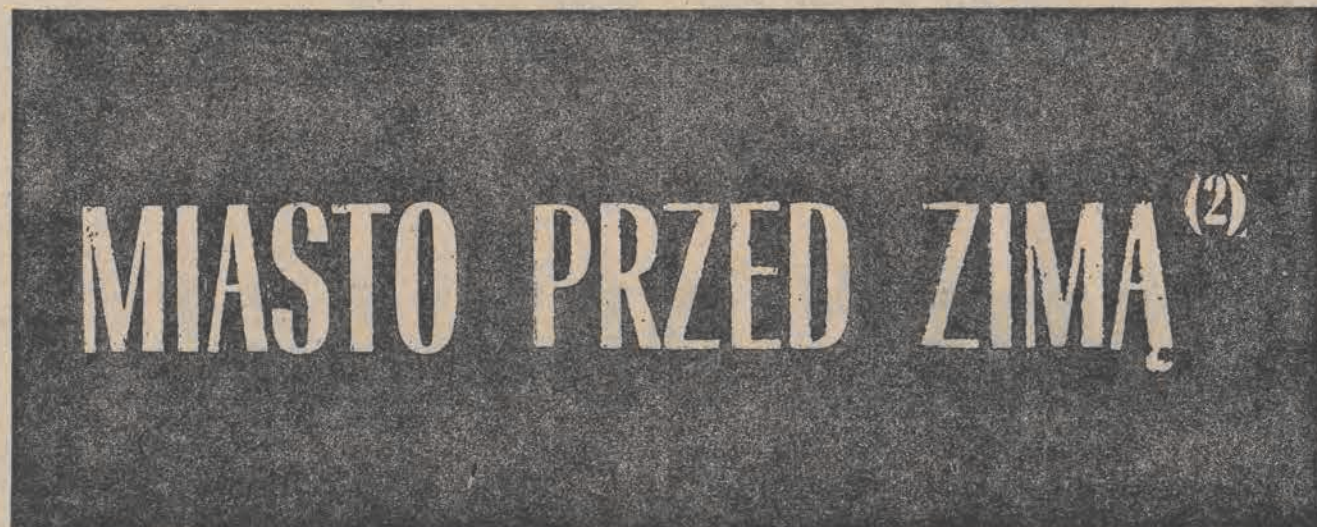
Taka jest sytuacja.

A. SOBIERAJSKI: — Nie jest ona wesoła. Ale też sami nie utrudniamy życia innym. Na przykład jeśli u kogoś w piwnicy jest zawór od ogrzewania czy ciepłej wody, to w razie jakiegos wyjazdu niech ten ktoś zostawi klucz od piwnicy u dozorczy, albo u sąsiada, do którego ma zaufanie, niech o tym wiedzą sąsiedzi, niech o tym wie dozorca, aby w razie awarii cały pion nie musiał margnąć przez dwa tygodnie.

I jeszcze jedna sprawa. Nie wyważaj pogotowia do drobnych uszkodzeń, bo w tym czasie może gdzieś być wielka awaria, którą trzeba szybko usunąć.

Opracowała: BOGDA MADEJ

Trzecią i ostatnią część naszej rozmowy o mieście przed zimą opublikujemy w następnym numerze „Odgłosów”.



WIDAĆ TAKIE TU OBYCZAJE...

Dalszy ciąg ze str. 1

się przy tym wszystkim łódzkim dziennikom, które — w opinii przewodniczącego — były głównymi sprawcami niepowodzenia finansowego szeregu koncertów. Żeby całkowicie nie pogrążyć środowiska dziennikarskiego wskazano na pozytywny przykład z tego podwórka — wymienianą tygodnik „Żywe Pabianie”.

Ami słowa przy tej okazji nie powiedziano o niezwykle istotnej sprawie — o zapotrzebowaniu społecznym na tego typu imprezy. Wiadomo wszak nie od dziś, że w niektórych przypadkach nie „napędza” widzów do Hali Sportowej ani komunikaty prasowe, ani zmasowany atak radiowy, czy telewizyjny. Być może jakiś zakuty w blachy i przewiązany łańcuchem wykonawca jest idolem na Zachodzie — ale to nie znaczy wcale, że i u nas publika musi się trącić chęć go zobaczyć i usłyszeć.

A trzymając się konkretno: jeżeli każdy łódzki dziennik zamieszcza w takiej sprawie przynajmniej dwa anonсы, to jest to — moim zdaniem — ilość wystarczająca. Jestem przekonany — proszę specjalistów do spraw marketingu i informacji w „Estradzie Łódzkiej” — że wiertną bzdurą jest insynuowanie redakcjom zarzutów, jakoby uzależniały wydrukowanie informacji od wpłacenia sumy 3,5 tys. złotych. Po prostu należałoby zorientować się, jaka jest różnica między ogłoszeniem prasowym a informacją umieszczoną np. pod wianem „kultura”.

Nie można pominąć milczeniem jednego z główniejszych wątków zebrań — sprawy związków zawodowych, których przedstawiciel (z zarządu głównego) także znalazł się na sali. Nie mógł on jednak dać sobie rady — przy aktywnej przesłuchaniu „pomocy” przewodniczącego — z żywiołowością kolejnych mówców. Zbyt enigmatyczne okazało się także sprawozdanie z walnego zjazdu związku.

Ustalając tryb wyboru nowej rady zakładowej (stara rada rozwiązano na wstępie — przy jednym głosie przeciwnym) i zapisując zgłaszane kandydatury, w jakiej takiej kondycji uczestnicy zebrań dotrwali do przerwy.

Tak na dobrą sprawę, to coś zaczęło się dziać dopiero w punkcie „dyskusja” i „wolne wnioski”. Rozpoczął te części Andrzej Józwiak, dyrektor „Estrady Łódzkiej”, proponując by we wnioskach uwzględniono i jego postulat — podwyższenia mu uposażenia — jako że od początku swojej pracy w tym przedsiębiorstwie nie dostał żadnej podwyżki. Potem — w imieniu kolegów — o kłopotach tej grupy pracowników mówił jeden z kierowników.

W pewnym momencie wydało mi się nagle, że zaczynała na sali Estrady padać cytaty z warszawskich „Szpilek”, które onegdaj obszerne — w liście korespondenta — informowały m.in. o Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, ze szczególnym uwzględnieniem jego dyrektora. Dziwnie znajome wydały mi się prezentowane tu poglądy — a przy tym były one mało wybredne (jak w „Szpilekach”), żeby nie powiedzieć chamskie. Aż dziw bierze, że osoby zabierające głos na łamach tygodnika z Warszawy (podpierając wywody korespondenta) a obecnie na sali (Krzysztof Wodniczka i Krystyna Mudzo-Pyrzanowska) — nie pokusiły się tym razem o zaprezentowanie swoich stanowisk.

Szkoda, bo z praktyki wynika, że osoby te dysponują szeregiem innych, nie mniej interesujących umiejętności. Oto np. potrafia jednocześnie — na koszt tak krytykowanego przez siebie Stowarzyszenia — przebywać w Toruniu i Białymstoku, albo dla odmiany w Warszawie i Białymstoku. Mogą także, pełniąc funkcje zastępcy dyrektora SME pobierać honoraria za konsultacje programowo-organizacyjne czy rozdawać kostiumy wykonawcom — wartości ponad 30 tys. złotych.

I w ten oto sposób dotarliśmy do niedostrzeganego prawie, ale toczącego się równoległego nurtu w dyskusji, dotyczącego zlikwidowanego Stowarzyszenia Muzyki Estradowej i utworzonego Stowarzyszenia Estradowego.

Nie sposób nawet pokusić się o zasygnalizowanie sytuacji, w której instytucja ta — na zebraniu — poddana została totalnej krytyce. Kiedy przewodniczący zebrań opowiadał ile to kłesk spadło na Estradę właśnie w związku z istnieniem SME, ile sprawiło ono kłopotów — kilka osób z sali jednocześnie usiłowało postawić

pytanie, dlaczego nikt nie podnosił tych kwestii wcześniej, chociażby w roku minionym czy wcześniej? To pytanie — tak jak zresztą wiele innych z tego podwórka — pozostało nie tylko bez odpowiedzi, ale wręcz nie zostało zauważonych.

A przecież faktem znanym jest to, że właśnie prowadzący zebranie był swego czasu prezesem Zarządu SME pobierając z tego tytułu honoraria (kombinacja w tym przypadku była taka: pół etatu wynosiło 2000 zł, potem dwie trzecie etatu kosztowało 2800 zł a jeszcze potem jedna trzecia opiewała na... 2700 zł). Faktem jest również, co żywo mają w pamięci pozostali w SME pracownicy, że to właśnie działalność tak kierowanego Zarządu (w którym funkcje powierzano osobom nie tylko nie placącym składek, ale i takim, które nie podpisywały deklaracji, doprowadziła do niesamowitego bałaganu, że w momencie próby zwołania nadzwyczajnego walnego zgromadzenia, przez wiele miesięcy (!) nie można było się połączyć iu jest właściwie członków

fakt, że tak prezes Zarządu SME, jak i wszystkie poczynania tego organu, były — mówiąc ogólnie — sterowane ze szczebla dyrekcji Estrady. Coż, w końcu była to podległość służbowa. A stąd już tylko krok do łamania norm współżycia społecznego, do kolizji z obowiązującymi przepisami.

Przykłady? Nagromadziłem ich wiele, ale ograniczę się tylko do kilku, chyba najbardziej charakterystycznych. Oto np. sprawa dwóch wydawnictw autorstwa A. Józwiaka („Magister na Broadwayu” i „Saga o Beaflesach”). Nie trudno zorientować się, że nie tylko zawyżono w rachunkach objętość owych pozycji (stąd zawyżone honoraria wypłynęły do kieszeni autora), nie tylko zakupiono powtórnie rozszerzoną wersję tekstu (już raz sprzedawaną Stowarzyszeniu), ale na dokładkę po prostu go nie wydrukowano.

A gdyby tak policzyć dokładnie ile razy — na mocy decyzji Zarządu SME — otrzymała nagrody osoba będąca w Estradzie zwierzchnikiem tegoż prezesa Zarządu? A słynna sprawa programu pt. „Maskarada” (impreza „wciśnięto” Stowarzyszeniu, co przyniosło mu straty finansowe, a to z kolei nie przeszkodziło pobrać zawyżonych kwot na scenariusz i reżyserię). O stronie finansowej Targów Estradowych, naprawdę potrzebnej imprezy — to chciałbym podkreślić (np. jedna osoba trzymała w ręku: dyktowanie w Estradzie funkcję prezesa w SME, kierownictwo programowe Targów oraz wykonała na dokładkę pracę noszącą tytuł „scenariusza ogólnego, o charakterze publicystycznym jako kawa do dyskusji na konferencji prasowej”, o innych programach z okazji Święta Lipcowego i akcji „Łato” w roku 1979 czy podobnych „propony-

ułości i działania wbrew przepisom. To także z tego, kierowniczego szczebla, decydowano np. o przekazaniu sprawnego magnetofonu do dyrekcji Estrady, sporządzając jednocześnie protokół z kasacji tego urządzenia. Nawet tragiczna śmierć Anny Jantar, piosenkarki reprezentującej SME — posłużyła do wyludzenia z kasy ponad 10 tys. zł na prywatne nekrologi i wianki kwiatów.

Zapłacono ponadto za scenariusz filmu sławiącego bodaj Targi Estradowe, którego do tej pory nikt nie oglądał, a specjalista do spraw wydawnictw i reklamy S. Kwaśniak pobierając wynagrodzenie nie miał ani angażu, ani zgody macierzystego zakładu.

Jednak najwyższe zdumienie budzić może dokument pt. Scenariusz IV Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia Stowarzyszenia Muzyki Estradowej — napisany na zamówienie przez zastępcę dyrektora „Estrady Łódzkiej” Karola L. Lefika za jedyne 4 tysiące złotych. Opracowano tu szczegółowo całe spotkanie, przewidziano także rolę klakiera do czynnego popierania referatu wygłaszanego przez przewodniczącego („klakier z widowni dysponujący tekstem referatu w ustalonych miejscach wywołuje oklaski — referent robi stosowne przerwy...”). Nie wiem tylko co autor miał na myśli używając zwrotów w rodzaju: „... administracyjne kierownictwo kultury...”, „... wymagane statutowo przewyższe ponad połowy stanu...” czy „...poddaje pod głosowanie zaproponowane wnioski celem uzyskania nostryfikacji realizacyjnej...”. Zaplanowano i kwiaty i upominek dla odchodzącego prezesa Zarządu (plus kwiaty), ujęto nawet oddzielnie moment głosowania: „... proponuje... na przewodniczącego obrad... zapytaniem czy nie ma innej kandydatury — nie widzę, nie słyszę...”.

Jak można dziś mówić o ocenach działalności SME dokonywanych w latach ubiegłych, kiedy właśnie st. inspektor z Wydziału Spraw Społeczno-Administracyjnych Zygmunt Skwira jest spokrewniony z bliskim współpracownikiem dyrektora Estrady, kiedy inny członek tej rodziny korzystał z wyjazdów zagranicznych tu organizowanych? Nie trudno przewidzieć także nastawienie kontrolera, skoro dokumenty SME przeglądał on właśnie w... Estradzie.

Jako kolejny przykład działania najprzeróżniejszych układów (o których właśnie w dyrekcji Estrady wiedzą chyba najlepiej) można podać — w kwestii Stowarzyszenia — opinie dyrektora Wydziału Spraw Społeczno-Administracyjnych M. Bieszcza, z czerwca 1980 r. mówiącą o celowości istnienia takiej placówki. Nie sposób będzie chyba teraz dociec, co spowodowało, że już w trzy miesiące później to samo nazwisko sygnowało opinię krótko i odmiennie, powodując tym samym czasowe zawieszenie działalności Stowarzyszenia.

O tych i innych faktach część uczestników zebrań w Estradzie doskonale wiedziała, dopytując m.in. o nadwyżki finansowe w byłej Radzie Zakładowej. Jakby na potwierdzenie tego wystąpił były pracownik Estrady, dzisiaj już emeryt, który rzekomo otrzymał zapomóg w wysokości 10 tys. zł. Starszy człowiek aż trząsł się z oburzenia, że musi się teraz tłumaczyć za czyjeś sprawy. Jak to się mogło stać — pytali inni pracownicy którzy, aby otrzymać należne im, wielokrotnie mniejsze sumy, musieli pisać podania poświadczane następnie przez kilka osób. Na jakiej podstawie taka suma „wyszła” z kasy — dopytywali.

Drugi dzień obfitował już w nieco mniej, podobnych tematów. Przedstawiono plan pracy Estrady w nowym roku kulturalnym, omówiono zamierzenia w tym zakresie. Kilka osób przy okazji dowiedziało się, że tu właśnie znalazł mecenasów Teatr „Univarius”, że są kłopoty z zaspokojeniem życzeń branży gastronomicznej. Powtórzono kwestię ograniczonych możliwości działu reklam, wskazano na niepokojącą ilość zmian personalnych w niektórych zespołach oraz omówiono wiele problemów z jakimi borykała się pracownictwo działu koncertowego, szczególnie ci działający w terenie.

Na zakończenie głos ponownie zabrał dyr. Andrzej Józwiak, który oprócz wygłoszenia kwestii o Wydziale Kultury i Stowarzyszeniu zawiadomił zebranych — o czym było już na początku — że nie on zapraszał piszącego te słowa (widać takie tu obyczaje).

A mnie autentycznie jest przykro, że właśnie z mojego powodu nie przedstawiono zebraniom analizy rentowności. Ponieważ przygotowywałem się do tego tematu od dłuższego czasu, pozwól sobie napisać tylko, że jeżeli za rok 1979 istnieje wówczas Stowarzyszenie dało żyć rzędu 2 mln 087 tys. zł (zatrudniając 25 osób) to za ten sam okres „Estrada Łódzka” (68 osób) przy dwukrotnie większej sprzedaży mogła poszczycić się sumą tylko o 190 tysięcy zł wyższą.

Drugie zebranie w Estradzie zakończono, a ja w dalszym ciągu nie żałuję, że się tam znalazłem...

SLAWOMIR DARZYCKI

MAŁYMI KROKAMI DO WIELKIEGO CELU

W nr 41 „Odgłosów” z 12. X. 1980 r. znajduje się wywiad z Genowefą Pawlik, przewodniczącą Łódzkiej Rady Związków Zawodowych i Teresą Gułmiską sekretarzem tej rady, przeprowadzony przez Konrada Frejlichę, Lekturę tego wywiadu zmusza jeszcze raz do zastanowienia się nad wagą słów, a co ważniejsze nad dobrym samopoczuciem aktywistów związkowych. Genowefa Pawlik deklaruje się, jako wieloletni działacz partyjny i związkowy, a na pytanie „Odgłosów”: „Jakie będzie miejsce w tym odnowionym ruchu wojewódzkiej rad związków zawodowych?” — mówi:

„Na to pytanie nikt chyba jeszcze nie potrafił odpowiedzieć. Może odpowie na nie nowa ustawa o związkach zawodowych. Nie czekając na rozstrzygnięcia kontynuujemy swoją pracę, bo chodzi o ważne sprawy: problem właściwej pracy służby zdrowia, problem ludzi trzeciego wieku. Chodzimy wśród ludzi z podnieśnięciem czołem”.

Nie znam oczywiście całej działalności Łódzkiej Rady Związków Zawodowych. Chcę tylko pokazać „skuteczność” tej działalności na przykładzie znanym mi z własnego doświadczenia 23 kwietnia 1979 roku powstał dzięki inicjatywie i pracy grupy działaczy społecznych i przy poparciu finansowym Łódzkiej Rady Związków Zawodowych Uniwersytet III Wieku. Inicjatywa rozwijała się i obecnie placówka ta liczy ponad 400 słuchaczy. Obok wykładów prowadzone są sekcje zainteresowań, lektury języków obcych i różne formy gimnastyki. Jak widać możliwości dalszej nauki i rozwijania osobowości zainteresowała łódzkich seniorów.

Odbywa się 64-66 zajęć w miesiącu. Całość prac programowych i większą organizacyjną odbywa się społecznie. Wydatki tej placówki z kasy Łódzkiej Rady Związków Zawodowych przez półtora roku wyniosły około 26 tysięcy złotych (plus etat administracyjny finansowany przez Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej).

Od jesieni 1979 roku kasy Łódzkiej Rady Związków Zawodowych przejął kierować zyciową tej społecznej inicjatywy Anna Mroczkowska, zaczynając się przed organizatorami piętrzyć trudności. Nowo powstające sekcje i naukę języków obcych trzeba w całości prowadzić społecznie. Łódzkiej Radzie Związków Zawodowych brak funduszy. Nowa przewodnicząca Genowefa Pawlik przez 4 słownie (cztery) miesiące nie znajduje czasu na rozmowę z grupą organizatorów i samorządem słuchaczy. Uniwersytetu III Wieku. Terminy odbywanych spotkań 20. XII, 79, 28 XII, 79, 16 III, 79, 3 III, 79, 13 III, 80 i 25 III, 80. Spotkanie odbyło się ostatecznie 21 marca. Na tym spotkaniu obiecano załatwić nagłośnienie sali w „Łódce” gdzie odbywają się wykłady i zapewnić rozwiązanie kłopotów finansowych Uniwersytetu III Wieku. Nagłośnienia sali do dziś nie ma. Sprawy finansowe też załatwiono odwołanie. 25 czerwca br. nastąpiło bez naszej wiedzy, udziału i zgody porozumienie między Łódzką Radą Związków Zawodowych z prezydentem miasta Łodzi — przekazuje sprawy finansowe Uniwersytetu — Wydziałowi Zdrowia i Opieki Społecznej.

We wrześniu br. okazało się, że Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej ma duże trudności z opłacaniem działalności typu kulturalno-oświatowego. Wynikiem jest taki, że odbywające się w Uniwersytecie III Wieku wykłady są opłacane z dobrowolnych składek samorządu słuchaczy.

Uważam, że deklaracje zawarte w wywiadzie z władzami Łódzkiej Rady Związków Zawodowych dotyczące opieki i troski o ludzi trzeciego wieku nie znajdują potwierdzenia w faktach i przynajmniej z tej racji nie widzę podstaw do chodzenia przedstawicieli Łódzkiej Rady Związków Zawodowych wśród ludzi z podnieśnięciem czołem”.

Z upoważnienia organizatorów przewodnicząca Rady Programowej U.I.W.

dr ANNA SZTAUDYNGER

-KALISZEWICZOWA

TECZKA W KIOSKU

Szanowni Panowie w redakcji „Odgłosów”. Uprzejmie proszę o interwencję w sprawie sprzedaży prasy („Dziennik Popularny”, „Głos Robotniczy” oraz tygodnik „Odgłosy”) z tzw. teczki.

Zamieszkuję wraz z żoną, chorą emerytką, mając 69 lat (jestem inwalidą wojennym) i dotychczas nie miałem specjalnych trudności w zapłatowaniu się w prasę w kiosku „Ruchu” na Retkini (nr kiosku 253).

Obecne zarządzanie w sprawie likwidacji tzw. teczki pozbawiło nas możliwości korzystania z prasy (Nie jesteśmy w stanie biec od samego rana po gazety, skoro choroba do tego nie dopuszcza).

Uprzejmie proszę, aby Wasza interwencja dotarła do p. dyrektora Ozwarska w dyrekcji „Ruchu” przy ul. Zamenhofa 10. Mam nadzieję, że Wasza interwencja okaże się pomocna w takiej właśnie dziedzinie, jaką jest Retkini (brak zaplecza handlowego, brak bliskich przystanków tramwajowych i autobusowych).

Serdeczne pozdrowienia dla Waszej Redakcji przesyła

B. STASZAK

„DO TRZECH RAZY SZTUKA”

W nawiązaniu do listu Romana Gorzelskiego pragnę wyjaśnić, że od stycznia 1978 roku, kiedy to objąłem kierownictwo Redakcji Literackiej PR w Łodzi emitowaliśmy na antenie prozę, przekłady i wiersze R. Gorzelskiego wielokrotnie. W ciągu tego czasu nie zdarzyło się ani razu „zdecyde” jakiegokolwiek audycji Redakcji Literackiej przez kierownictwo rozgłośni, a więc również nie miało to miejsca w wypadku R. Gorzelskiego. Ramowa programu miesięcznego opracowywana jest osobicie przeze mnie i — być może — nastąpił kiedyś przesunięcie terminu nadania ze względu na wymogi tematyki aktualnej, lub wcześniejsze zobowiązania wobec autorów. Takie przesunięcia zdarzają się często i są rzeczą naturalną. Informacja autora listu „Do trzech razy sztuka” dotycząca złośliwego „zdecyde” jego dwóch audycji polega na nieporozumieniu, a już kompletna bzdura jest twierdzenie mił usta (bo tak rozumiem cudzy głos) informacji, że audycje „zdał” W. Jądrzyński, za szkalowanie przez Gorzelskiego Łodzi w „Szpilekach”.

Za zmianę terminów nadania utworów R. Gorzelskiego na naszej antenie wyrażam odpowiedzialność ponad kierownik redakcji, a nie kotłownię z kierownictwem rozgłośni. Na koniec dodam, że w czasie „dyskryminacji” R. Gorzelskiego na lokalnej antenie nadaliśmy nie mniej jego utworów niż innych łódzkich pisarzy.

JERZY WILMAŃSKI
kierownik
Redakcji Literackiej PR w Łodzi

ODGŁOSY 5

Na łamach tygodników społeczno-kulturalnych pojawia się ostatnio wiele publikacji, których autorzy reprezentują różnorodne poglądy na temat istniejącej sytuacji gospodarczej kraju i możliwości wyjścia z kryzysu. Doktor Stefan Krajewski, adiunkt z Instytutu Ekonomii Politycznej Uniwersytetu Łódzkiego omawia w „Odgłosach” prezentowane w tygodnikach koncepcje zlikwidowania krytycznej sytuacji gospodarczej.

S. KRAJEWSKI: — Warto by się zastanowić, czy problemy ekonomiczne, które teraz znajdują w prasie tak żywe odbicie, są dla środowiska ekonomicznego nowe, czy też były mu wcześniej znane. Z głębokim przekonaniem mogę powiedzieć, że większość ekonomistów dostrzegła te zagrożenia znacznie wcześniej i dawała temu wyraz.

„ODGŁOSY”: — Tylko społeczeństwo nie wiedziało, że ekonomisci wiedzą.

S. KRAJEWSKI: — Niestety, tak. Jeśli opinie krytyczne przedstawiały się do wiadomości publicznej, to zwykle w formie zakamuflowanej, a właściwe materiały docierały jedynie do wąskiej grupy osób. Nie publikowano, także wielu prac krytycznych i rzetelnie oceniających rzeczywistość.

„ODGŁOSY”: — A jakie stanowiska reprezentowali eksperci, na których brak w ostatnich latach nie możemy narzekać?

S. KRAJEWSKI: — Część ekspertów wypowiadała się bardzo krytycznie. Najbardziej dramatycznym przypadkiem może być przykład prof. Janusza Beksia z SGPIŚ, który rzekł się funkcji doradcy i sekretarza KC PZPR, uzasadniając, iż nie może firmować swoim nazwiskiem decyzji, których nie akceptuje i które są sprzeczne zarówno z jego koncepcjami, jak i liczną grupą ekonomistów. Można natomiast mieć pretensje do prof. Pawła Bożyka, który był szefem grupy ekspertów przy I sekretarzu KC PZPR. Uważa się, że jeśli postulaty ekspertów nie były brane pod uwagę, to prof. P. Bożyk powinien albo otwarcie zawiadomić o tym środowisko ekonomiczne, albo zrezygnować z funkcji.

„ODGŁOSY”: — Jest więc jeszcze jedna grupa zawodowa, której przynajmniej w części winniśmy oddać sprawiedliwość. W opinii społecznej bowiem dużą winę za istniejącą sytuację ponoszą ekonomisci.

S. KRAJEWSKI: — Jest w tym trochę prawdy, bo przecież część z nich firmowała decyzje, z którymi się nie zgadzała. Ale również winą władzy było, iż nie słuchała głosów krytycznych. Już w 1971 roku ekonomisci przestrzegali przed tym, że bardzo trudno jest realizować równoległe takie cele, jakie wtedy stawiano: ambitny program inwestycyjny, wysokie płace, program mieszkaniowy oraz daleko idącą reformę w systemie planowania i zarządzania.

„ODGŁOSY”: — A na kiedy ekonomisci przewidywali wystąpienie kryzysu?

S. KRAJEWSKI: — Niektórzy mówili o roku 1979, inni — o 1980. W analizach przeprowadzonych na Zachodzie też podawano tę datę. I to jest właśnie tragiczne, że środowisko przewidywało kryzys, a ekipa rządząca nie brała tego poważnie.

„ODGŁOSY”: — Mniej więcej od wiosny zaczęły się ukazywać w pismach społeczno-kulturalnych bardzo krytycz-

ne materiały na temat naszej gospodarki.

S. KRAJEWSKI: — Bo tej dramatycznej krytyki nie sposób było dłużej tłumaczyć. Zwróciłbym uwagę na artykuł prof. J. Pajestki w „Polityce” z 30 sierpnia, a więc materiał pisany przed zawarciem porozumienia na Wybrzeżu. Autor pisał m. in.: „Charakterystyczne dla Polski w drugiej połowie lat siedemdziesiątych było pogarszanie się efektywności gospodarczej, pogłębianie nierównowagi gospodarczej na wszystkich odcinkach”. Przyczyny autor upatruje w niesprawnym systemie funkcjonowania gospodarki i społeczeństwa, w wadliwym systemie sprawowania władzy. Następne przyczyny kryzysu, to niedostateczne zmiany w strukturze gospodarczej. Zdaniem prof. J. Pajestki skok gospodarki w latach 1970—1975 spowodowany był w dużym stopniu kredytami zagranicznymi. Nie jest to opinia odosobniona. Również na Zachodzie przyznawano kredytom ogromną rolę w rozwoju naszej gospodarki. Tymczasem główni autorzy „pożyczek” skłonni byli pomniejszać rolę kredytów zagranicznych.

„ODGŁOSY”: — A jak wygląda przyczyna kryzysu w poglądach innych autorów?

S. KRAJEWSKI: — Przytoczę teraz pogląd prof. J. Beksia. W artykule „O załamaniu i poprawie”, w „Kulturze” z dnia 28 września, wymienia on podstawowe przyczyny. Były to, jego zdaniem, przede wszystkim: zbyt forsowny program rozwoju, zakładający wielkie inwestycje, sprzeczność między kapitałochłonną techniką, a polityką pełnego zatrudnienia oraz fakt, że programi forsownej industrializacji realizowane były w ramach tradycyjnego, głównie nakazowego systemu zarządzania. Jest to podstawowa teza J. Beksia. Po prostu, stary system planowania i zarządzania nie nadaje się do współczesnej gospodarki.

Warto podkreślić, że w artykule opublikowanym w „Polityce” 4 października, pt. „Projektanci systemu”, A. Paszyński w sposób dość zbieżny z tym, co mówi prof. J. Beksia, też przyjmuje, że podstawową przyczyną naszych kłopotów jest niesprawny system funkcjonowania gospodarki i społeczeństwa. A. Paszyński wyraża podkreślenie nadmierny woluntaryzm władzy centralnej, która mogła robić to, co chciała, nie patrząc na prawa ekonomiczne, forsując swoje cele i metody działania, nie bacząc na to, czego chce znaczna część społeczeństwa. Próby zmiany systemu centralnego kierowania gospodarką nigdy się nie udawały. Zdaniem A. Paszyńskiego głównie dlatego, że władze centralne zawsze dążyły do obrony swoich pozycji. Pragnąłbym zwrócić uwagę na te opinie. Są one charakterystyczne dla obecnej dyskusji. Po raz pierwszy problem centrum i jego wpływu na sprawy ekonomiczne został tak sformułowany i ogłoszony publicznie. Jeszcze wróć do tego tematu.

„ODGŁOSY”: — W „Polityce” z dnia 13 września i 27 września doc. dr hab. Cezary Józefiak z Uniwersytetu Łódzkiego publikuje dwa artykuły „Od czego zacząć?” i „Nie tylko decentralizacja”. Gratulując doc. C. Józefiakowi wytrwałości (na możliwość ukazania się pierwszego materiału czekał, o ile dobrze pamiętam, dwa lata), prześledźmy jego diagnozę.

S. KRAJEWSKI: — C. Józefiak wśród trwałych wad naszej gospodarki wymienia chroniczne dysproporcje oraz arytmie wzrostu gospodarczego i warunków życia ludności. Te dysproporcje to głównie niedorozwój rolnictwa i końcówki fazy produkcji. Odtąd, pod względem wydobycia i produkcji na przykład stali, węgla, kwasu siarkowego i przewozów w transporcie kolejowym i samochodowym na główne lico dochodem narodowym, jest bardzo mierna, o czym wszyscy wiemy. Są to ogromne dysproporcje, których nie potrafiliśmy do tej pory rozwiązać, przede wszystkim ze względu na fatalne planowanie i zarządzanie.

„ODGŁOSY”: — A jak należy rozumieć arytmie wzrostu gospodarczego?

S. KRAJEWSKI: — Zgodnie z nazwą. Są lata, w których obserwujemy gwałtowny wzrost gospodarki, i takie, w których jest on niewielki. Na przykład w 1979 roku po raz pierwszy po wojnie w Polsce nastąpił spadek dochodu narodowego, tego podstawowego miernika tempa wzrostu gospodarki. Sytuacja ta z pewnością powtórzy się w 1980 roku. Następna przyczyna kryzysu, według C. Józefiaka, to nieefektywność przedsiębiorstw. Autor dobitnie podkreśla, że wszystkie wspomniane przyczyny mają swoje źródło w nieprawidłowym systemie planowania i zarządzania.

„ODGŁOSY”: — Nie było dotychczas ustawy o planowaniu?

S. KRAJEWSKI: — Dla środowiska ekonomicznego jest sprawą żenującą i niepojętą, że dotąd nie było ustawy o planowaniu, mimo budowania od lat gospodarki planowej. Nie mamy też ustawy o przedsiębiorstwie, jednym słowem nie mamy uregulowanych spraw podstawowych. A oto, co pisze na ten temat C. Józefiak: „Istnieją poważne luki w ustawodawstwie. Jednym z najbardziej jaskrawych przykładów jest brak ustawy o planowaniu. Dzięki tej luce kompetencje Komisji Planowania mogą być zmieniane z dnia na dzień. Przykładem jest oczywiście więcej. Odzwierciedlają one fakt, że centralny układ i instytucjonalny znajduje się w stanie, który można nazwać świadomym nieładem”.

„ODGŁOSY”: — Z omawianych przez pana artykułów wynika zbieżność poglądów autorów na temat oceny sytuacji. Czy istnieją głębsze różnice w prezentowanych diagnozach. Jeżeli tak, to jakich zagadnień dotyczą?

S. KRAJEWSKI: — Nie widzę zasadniczych różnic w prezentowanych przyczynach kryzysu. Warto natomiast podkreślić, że po raz pierwszy od dwudziestu kilku lat wyraźnie wskazuje się na zależność między sprawnością systemu planowania i zarządzania oraz polityką gospodarczą, a metodami wykonywania władzy. Można założyć, dlaczego ekonomisci przywiązują tak wielką wagę do doskonalenia systemu sprawowania władzy. Odtąd jest to sprawa bardzo istotna. Dla prawidłowego funkcjonowania gospodarki niezbędny jest szeroki udział społeczeństwa w kształtowaniu celów ekonomicznych i społecznych, zawartych w planach. Jeśli na przykład nie ma dobrego przekazu informacji między społeczeństwem a władzą, jeśli oczekiwania różnią się z rzeczywistością, to narasta niezadowolenie i niezadowolenie ludności. Rodzi się opór, który wcale nie musi oznaczać strajków. Po prostu ludzie zaczynają źle pracować, co oczywiście odbija się na gospodarce.

Obecnie bardzo często odpowiedzialnością za błędy w polityce gospodarczej obarcza się szczebel centralny. Jest to zbyt daleko idące uproszczenie. Stosownie zwraca na to uwagę Z. Szeliga w artykule „Kolejne przybliżenie” w „Polityce” z 11 października. Podkreśla on, że odpowiedzialność za doprowadzenie kraju do kryzysu gospodarczego i społecznego spada nie tylko na najwyższe kierownictwo partii i rządu, lecz także na średnie szczeble: sekretarzy, naczelników, dyrektorów w województwach i gminach.

„ODGŁOSY”: — Prześledźmy kolejne propozycje zlikwidowania kryzysu.

S. KRAJEWSKI: — Prof. J. Beksia w „Kulturze” przedstawia całokształt programu reformy. Opowiada się za rozwiązaniem, które w uproszczeniu byłoby podobne do rozwiązania jugosłowiańskiego. Pisze m. in.: „Weźmy pod uwagę inne możliwe rozwiązania, które warto jest rozważyć i wypróbować. Jest nim utworzenie układu relacji, w którym państwo, będące właścicielem większości środków produkcji, powierza je w użytkowanie zespołom pracowniczym i lokalnym, sprawując kierownictwo i nadzór nad wykorzystaniem tych środków. Można to sobie na przykład wyobrazić w

postaci utworzenia rad przedsiębiorstw, złożonych z reprezentacji załóg, społeczności lokalnej, przedstawicieli władz państwowych, organizacji społecznych i politycznych. Rady te otrzymują w warunkach i czasowo użytkowanie majątek przedsiębiorstwa. Powołują one dyrekcje i sprawują nad nimi kontrolę. W tym układzie państwowe organa centralne tworzą i limitują przedsiębiorstwa, kierując nimi metodami parametrycznymi, występują też w roli arbitra w ewentualnych sporach między przedsiębiorstwem a związkami zawodowymi i niezależnymi organizacjami konsumentów. Przedsiębiorstwo nie jest w tym układzie agendą, czy urzędem państwowym, lecz jest wydzieloną jednostką, której zadaniem jest efektywne gospodarowanie powierzonym majątkiem. Członkowie społeczeństwa mają wiele kanałów możliwego współkształtowania i kontrolowania biegu życia gospodarczego: przez władze państwowe i samorządowe, przez udział w radach przedsię-

nuje również opinia, że to właśnie ministerstwa branżowe, broniąc swych partykularnych interesów przyczyniały się do upadku wielkich organizacji gospodarczych — WOG. I trzecia propozycja J. Beksia dotyczy wprowadzenia nowego systemu ekonomicznego w całej gospodarce i poinformowania o tym społeczeństwa. Społeczeństwo musi wiedzieć, do czego zmierzamy i kiedy chcemy te cele osiągnąć. Nie można także pominąć innej tezy J. Beksia. Uważa on, że trzeba pobudzać przedsiębiorstwa do eliminowania mało wydajnych pracowników. Autor sam stwierdza, że może to grozić bezrobociem, ale uważa, iż można dać ludziom zasiłki lub stypendia na czas poszukiwania innej pracy, lub zmiany kwalifikacji. Z poglądem tym polemizuje S. Albinowski w „Kulturze” z 5 października.

Według J. Beksia najogólniejszym kryterium oceny tego, co uznajemy za korzystne, jest zdolność systemu ekonomicznego do rozwiązywania

gospodarczych. Zaskakujące, że w ostatnich latach ciągle mówiliśmy o inwestycjach dla rolnictwa, a tymczasem w rzeczywistości było całkiem inaczej. Jednym z przykładów mogą być nawozy sztuczne, których produkcja nie wzrosła w ciągu pięciu lat. Rolnictwo indywidualne było szczególnie zaniedbane. Preferowano PGR, spółdzielnie produkcyjne i kółka rolnicze. Tymczasem produkcja rolna, uzyskiwana z wielkich, uspołeczniionych gospodarstw jest w Polsce bardzo kosztowna, bardzo kapitałochłonna i, według niektórych ekonomistów, wprost nieopłacalna. Jak podaje S. Albinowski, do PGR dopłacamy rocznie w postaci bezpośrednich dotacji 30 miliardów złotych. Wyjście z tej sytuacji leży w przesunięciu środków z rolnictwa uspołecznionego do indywidualnego.

Do problemów rolniczych nawiązuje też prof. Augustyn Woś z Instytutu Ekonomiki Rolnej w „Życiu Gospodarczym” z 14 września, który uważa, że jesteśmy w stanie u-

JAK WIDZĄ WYJŚCIE Z KRYZYSU

biów, przez organizacje zawodowe, konsumencie i inne. Rozwiązanie powyższe dotyczy przedsiębiorstw państwowych, obok których jest oczywiście miejsce dla przedsiębiorstw należących do niezależnych spółdzielni, a także dla przedsiębiorstw tworzonych. Koncepcja ta ma na celu połączenie sprawnego centralnego kierownictwa z gospodarką samodzielną przedsiębiorstw i z udziałem ogółu członków społeczeństwa w określaniu celów gospodarki i sprawowaniu efektywnej kontroli nad ich realizacją.

Prof. Beksia widzi trzy fazy wyjścia z obecnej sytuacji. Pierwsza faza — tzw. faza destrukcji i rozruchu, czyli usuwania przeszkód. Faza druga — zmian i ponoszenia kosztów. W trzeciej fazie J. Beksia proponuje kontynuację pożądanego kierunku zmian. Najważniejszą obecnie jest oczywiście faza pierwsza, w której należy wytrwać gospodarce z bezwładności i przestawiać ją na inny tor. Podstawowym składnikiem tej fazy jest zmiana sił, poglądów i polityki gospodarczej. Podstawowym warunkiem wszelkiej zmiany jest dialog ze społeczeństwem i pozyskanie społeczeństwa dla proponowanej reformy. Pytanie, skąd wziąć środki w pierwszej fazie na przedstawienie gospodarki na inny tor. Prof. Beksia widzi dwie możliwości: pierwsza — pożyczki zagraniczne i ulgi w zobowiązaniach. Druga propozycja oznacza dosłownie zaciskanie pasa. Jest to bowiem dążenie do wzrostu wydajności pracy bez równoległego wzrostu płac. Teraz trzeba się zastanowić, co jest realne i możliwe. J. Beksia pisze dalej, iż musi nastąpić zapoczątkowanie zmian w polityce gospodarczej i w kierunkach zarządzania. Po pierwsze należy zrezygnować ze stosowania metod z tradycyjnego systemu tj. nakazów przesyłanych z góry na dół. Po drugie, przeobrazić organa kierujące gospodarką w stronę większego zintegrowania. Obecnie tych organów jest bardzo dużo, np. ministerstw branżowych. Większość ekonomistów uważa, że należałoby je zlikwidować. Pa-

problemów, jakie sam sobie stawia i jakie wynikają ze zmiany jego warunków zewnętrznych. Jest to bardzo ważne stwierdzenie, gdyż w tej chwili zarzucamy naszemu systemowi ekonomicznemu, iż jest on nieadaptacyjny, że nie potrafimy się uczyć na błędach. Tymczasem podstawowym kryterium sprawności tego systemu powinna być jego zdolność uczenia się i wychodzenia naprzeciw nowym warunkom. Potwierdzeniem tej tezy może być artykuł prof. Oskara Lange w „Życiu Gospodarczym” z 5 października, pt. „Jak sobie wyobrażam polski model gospodarczy”. Pisany 24 lata temu tekst jest we wszystkim aktualny. Jest to, niestety, jeszcze jedno świadectwo, że nasz system ekonomiczny nie uczył się przez ten czas.

Rozbudowaną koncepcję wyjścia z naszej skomplikowanej sytuacji dają Wiktor Herer i Władysław Sadowski w artykule pt. „Gospodarka bez mitów”, opublikowanym w „Polityce” z 20 września. Już w punkcie wyjścia autorzy zastanawiają się nad tym, co zrobić, aby olbrzymi zastrzyk pieniędzy, jaki będzie trafiał do społeczeństwa w wyniku podpisania porozumień między komisjami rządowymi a załogami robotniczymi nie wzmógł inflacji i nie stał się naszym wielkim społecznym kłopotem. Odtąd autorzy widzą próbę rozwiązania przede wszystkim w reformie planowania i zarządzania. Twierdzą, że tego typu reforma mogłaby uruchomić ogromne rezerwy tkwiące w gospodarce. Rezerwy te są tak wielkie, jak wielka jest skala wszelkiego marnotrawstwa. Taką samą opinię wyraża S. Albinowski w „Kulturze” z 14 września, w artykule „Uprogu odnowy, próba bilansu”.

W. Herer i W. Sadowski widzą wielką potencjalną rezerwę w rolnictwie. Uważają, że w rolnictwie niezbędne są takie posunięcia, które upewniłyby indywidualnych rolników o stabilizacji polityki rolnej. Do rolnictwa indywidualnego należałoby także skierować więcej środków. To niedoinwestowanie rolnictwa było jedną z przyczyn naszych kłopotów

rocznicę ogromną aktywność, oddając sprawę rolnictwa w ręce samorządu wiejskiego.

„ODGŁOSY”: — A jak w opiniach autorów wygląda problem cen?

S. KRAJEWSKI: — W tej chwili przeważa opinia, że nie jesteśmy w stanie przeprowadzić jednorazowej regulacji cen. Są zbyt wielkie dysproporcje, poza tym najbardziej uciążliwymi na tym najniższe zarabiaczy. Ostatnio odchodzimy od koncepcji cen oderwanych od kosztów, od cen nowości. Będziemy pilnowali cen artykułów podstawowych, zwiększając się również uprawnienia Państwowej Komisji Cen. Nie ma jednak jasnej koncepcji, jak reformować system cen. Zagadnieniu temu poświęcona jest m. in. dyskusja w „Życiu Gospodarczym” z 28 września, pt. „Alergia na ceny”. Jeden z dyskutantów, prof. A. Tymowski, powiedział m. in.: „Cena nie jest tylko instrumentem technicznym, ale skoro ma wpływ na podział funduszu spożywczo, to jest przede wszystkim instrumentem politycznym, musi być więc instrumentem bardzo zrozumiałym, jasno zaadresowanym w określonych układach społecznych.”

Jeśli tak się nie stanie, to zamawiam się na następną dyskusję w 1985 roku. Konieczne jest wpajanie społeczeństwu pewnych praw i faktów. Dziś mamy ujawnione siły społeczne, z którymi co do polityki cen musimy się dogadać.

Nie dodać, nie ująć. Myślę, że jest to jedyna szansa. Uważam, że ludzie zezwoliliby na reformę w imię wyższych racji społecznych.

„ODGŁOSY”: — W materiałach publikowanych ostatnio autorzy nawiązują do oficjalnie prezentowanych programów zmian gospodarczych. W referacie Biura Politycznego KC PZPR na VI Plenum, opublikowanym w „Trybunie Ludu” z 5 października, I sekretarz KC PZPR S. Kania, powiedział m. in.: „Celem naszym jest przywrócenie równowagi, a następnie zapewnienie systematycznego wzrostu produkcji i dochodu narodowego.

Toczy się w „Odgłosach” przewlekły i osobliwy spór. Omawiając książkę Kazimierza Koźniewskiego „Zostanie mi” (nr 37) Władysław Rymkiewicz zwrócił uwagę przede wszystkim na otwierający ją szkic o przywódce Narodowej Demokracji i w kilku zdaniach potępił działalność Romana Dmowskiego w latach 1904–1907 oraz jego późniejszą sympatię dla prądów faszystowskich, poważnie rzutującą na przemianę w polskim ruchu nacjonalistycznym. Wywołało to sprzeciw Doroty Chrościelewskiej i Witolda Kotowskiego (nr 39). Po replice Rymkiewicza (nr 40) ponownie zabrala głos Chrościelewska (nr 42).

Charakter i jakość tych polemik są jednak różne. O ile bowiem Kotowski upominał się o niebagatelizowanie racji, na których opierały się przeciwne wobec siebie kierunki myśli politycznej w okresie zaborów, a w związku z tym — o uwzględnienie wielu kryteriów w ocenie przegranych powstań narodowych, o tyle Chrościelewska dąży do merytorycznego zdyskredytowania sądów Rymkiewicza poprzez wytknięcie mu błędów rzeczowych. Dla wzmocnienia wiarygodności postawionych zarzutów i chyba także dla podkreślenia, że wstąpiła w szranki jako osoba kompetentna, nie zaś jako poetka znana z liryzowania kobiecych tematów salonowych, w obu tekstach ostentacyjnie eksponuje własną pozycję naukową („dr nauk humanistycznych”), zaznacza, że jej wiedza wywodzi się z głębszych źródeł niż hasła encyklopedyczne i nawet wzywa studentów na świadków swej nieendekiej postawy ideologicznej w pracy badawczej i w dydaktyce.

Nie miałem zamiaru zakłócać rzeźkiego fechtunku, bo lubię taki, nie chcę w tym sporze być ani stroną, ani arbitrem. Widząc jednak upór, z jakim Chrościelewska podtrzymuje swoje stanowisko przy pomocy pozornej dokumentacji, i widząc nadużywanie Majestatu Nauki dla uwierzytelnienia balaśnatych informacji, co sprzyjać może uwierzeniu w nie przez czytelników nie zorientowanych w przedmiocie kontrowersji, poczuwam się do obowiązku obnażenia stosowanej przez autorkę metody mistyfikacji i do sprostowania elementarnych błędów.

Chrościelewska jest nielojalna wobec Rymkiewicza, Koźniewskiego i naszych Czytelników, gdy przeciwstawia recenzję Rymkiewicza eseji Koźniewskiego, są one bowiem zgodne w ocenie postaci Dmowskiego. To nieprawda, że recenzent ukazał rolę bojówki Sokola w rewolucji 1905 r., „wbrew autorowi i prawdziwie historycznej”, że inaczej niż Koźniewski przedstawił stosunek Dmowskiego do faszyzmu. Pisze Koźniewski: Dmowski „wysłał więc endeckie bojówki podległe sobie Sokola — szczególnie dramatycznie i brutalnie rozegrało się to w Łodzi — by wspólnie z wojskami carskimi w tłumieniu buntów robotniczych” (s. 21). Pisze Rymkiewicz: Dmowski „wysłał przeciwko łódzkiemu proletariatu bojówki podległe mu Sokola, żeby pomogły wojskom carskim w tłumieniu zbuntowanych z powodu horrendalnego wyzysku przez niemieckich i żydowskich fabrykantów polskich robotników i robotnic”. Główną tezę szkicu Koźniewskiego jest końcowe stwierdzenie, że Dmowski był twórcą polskiej odmiany faszyzmu (s. 40), a cały wywód służy ukazaniu ewolucji Dmowskiego ku faszyzmowi, zwłaszcza zaś tekst na ss. 30–40, na których omawia fascynację Dmowskiego Mussolinim, organizację Obozu Wielkiej Polski i inne elementy tego procesu. Nie wiem, dlaczego Chrościelewska aprobuje stanowisko Koźniewskiego nazywając je „obiektywnym” a zarzuca fałsz recenzji Rymkiewicza, która była skrótem rekapitulacją wywodów Koźniewskiego. Albo autorka nie czytała szkicu Koźniewskiego, albo w złej wierze, kierując się nieznany mi względami koniunkturalnymi, woli nie atakować Koźniewskiego, by ukrywać przed czytelnikami sens jego książki ugodzić w Rymkiewicza. W istocie wystąpienia Chrościelewskiej są zamaskowaną krytyką Koźniewskiego zrobioną na konto Rymkiewicza. Na tym polega ta mistyfikacja.

A teraz zapowiedziane w tytule przekleństwa fakty. Jeśli chodzi o Sokola w zaborze rosyjskim, to Chrościelewska widocznie nie wyczuła ironii, z jaką Rymkiewicz odesłał ją po wiedzę do encyklopedii (zresztą tym gestem przyszykowiowo wpuszczając w maliny, bo nie ma tam potrzebnych informacji), skoro poddaje analizie hasło z WEP i brnie w obronę karkołomnej tezy o nieuczestniczeniu Sokola w walkach robotniczych podczas rewolucji. Dziwi się, że autorki nie zmitygowało nasuwające się przecież przypuszczenie, iż Rymkiewicz — autor wielu utworów o ruchu robotniczym w Łodzi, w tym powieści o rewolucji 1905 r. „Czas pojedna, trawa porośnie”, znany ze swej techniki dokumentarnej w kreśleniu tła historycznego — może mieć jakieś podstawy do stwierdzeń na temat działań Sokola w Łodzi. Dziwi się więc, że nie sprawdziła tego w literaturze naukowej.

Dokumentacja krwawych czynów królewickiego Sokola w walce z rewolucją jest bardzo obfita. Nie odwołując się już autorki do opasłych tomów źródeł dotyczących walki caratu i klas posiadających przeciwko rewolucji w różnych regionach kraju (tylko trzy tomy archiwaliów do dziejów rewolucji w okręgu łódzkim, ogłoszone w latach 1957–1964, liczą sobie ponad 200 arkuszy wydawniczych), pragnę wskazać choćby popularną pa-

noramę tych lat pisma Stanisława Kalabińskiego i Feliksa Tycha „Czwarte powstanie czy pierwsza rewolucja” (wyd. II 1976), gdzie czytamy m.in.: „W styczniu 1906 roku endecja rozbudowała organizację Sokół — stowarzyszenie gminastyczne, działające legalnie na terenie Królestwa. Faktycznie stało się ono bojówką, przy pomocy której rozbiła strajki i zebrała robotnicze, usuwała robotników-socjalistów z fabryk. Na terenie wielkim Sokół występował przeciw strajkom robotników rolnych” (s. 405–406). Na ss. 408, 548, 564, 569, 574 znajdują się wybrane przykłady tej działalności: pogrom działaczy SDKPiL (czterech zabito) w Ciemniakach koło Radzyna Podlaskiego i strajkujących formacji w Garbowie koło Lublina (dwóch raniono), napady na socjalistów w czasie lokautu łódzkiego na przełomie XII 1906 i I 1907, wreszcie seria krwawych walk 6–9 IV 1907 w Łodzi, gdzie w wyniku napadów Sokola na działaczy PPS, SDKPiL oraz mariawitów zginęło 38 osób, a 41 odniosło rany. „Łódzianin”, organ PPS, szczegółowo opisał „krwawą marszrutę tych band Sokolich” od Chojen, przez Górny Rynek, Widzew do Bałut, gdzie z ich rąk padło ofiar najwięcej. Sama endecja również nie ukrywała swych „zasług” w tłumieniu „anarchii”, a inspirującą rolę Dmowskiego w tych przedsięwzięciach z dumą podkreśla biogram wodza w „Polskim Słowniku Biograficznym” (V: 1938, s. 217), wydawnictwie naukowym, napisany z pozycji endekich. Niepotrzebnie Chrościelewska sugeruje, że Rymkiewiczowi Sokół pomylił się z Narodowym Związkiem Robotniczym, bo ani jemu, ani Koźniewskiemu się nie pomylił. Lekko myślnie też odwołuje się ona do opinii studentów polonistyki, gdyż niewykluczone, iż bliźni z nich przygotowują się do egzaminu z historii Polski na I roku z podręcznika uniwersyteckiego „Historia Polski” (T. III, Cz. II, Warszawa 1972), którego rozdziały VIII–XII, napisane przez Kalabińskiego i Tycha, po pewnym rozszerzeniu wydane zostały właśnie w postaci cytowanej książki. Mogą więc ci studenci dobrze orientować się w faktycznej roli Sokola podczas rewolucji.

W świetle przytoczonych faktów charakterystyka Sokola galicyjskiego, przeprowadzona nie wiedzieć po co przez Chrościelewską, nie ma nic do rzeczy. Naturalnie trzeba pamiętać, że Sokół istniejący przez kilkadziesiąt lat w trzech zaborach, na emigracji i w Polsce międzywojennej, nie może być oceniany wyłącznie przez pryzmat jego roli w królewickiej rewolucji, ale też nikt tego nie czyni. Sokół ma duże zasługi w krzewieniu kultury fizycznej i patriotyzmu, a także wiedzy wojskowej wśród młodzieży niepodległościowej (swego czasu interesowałem się działalnością Sokola wśród Polonii w Odessie i przynależało mi, z tego kręgu wyszło wielu wartościowych ludzi, choćby tak nieznanych jak Mariusz Zaruski), wszystko to nie zmienia jednak faktu, że w latach 1906–1907 bojówki Sokola w zaborze rosyjskim z pałką i rewolwerem w ręku usmiertniały bunt społeczny i niepodległościowy Polaków, dokonując czynów haniebnych.

Jeśli zaś chodzi o stosunek Dmowskiego do faszyzmu, to jest faktem niewątpliwym, że zarówno on sam, jego współpracownicy jak i przeciwnicy widzą ten związek. Należy tylko traktować problem w kategoriach historycznych, rozróżniać faszyzm włoski, hitlerowski i całą gamę prądów kryptofaszystowskich w przedwojennej Europie. W Polsce pisano też o tzw. wstydliwym faszyzmie. Jesteśmy pod wrażeniem zbrodni niemieckich i to przeszkadza w obiektywnym spojrzeniu na inne kierunki faszystowskie, budząc w nas opory przed rozważaniem ich wpływów na rodzimych polityków i ideologów w różnych ugrupowaniach skomplikowanej mozaiki politycznej okresu międzywojennego. Należy jednak pamiętać, że faszyzm włoski w 1919 czy 1922 roku nie głosił programu ludobójstwa i rasizmu. O dezorientacji naszej opinii co do wartości ruchu włoskich kombatanów świadczą mogą sady wygłaszane wtedy w środowiskach byłej lewicy niepodległościowej. Np. w „Drozie”, trybunie tych żywiołów, w komentarzu do marszu na Rzym odcinano się od „na chłubiński sposób sfalszowanego „faszyzmu” (1922 nr 16–17 s. 39), czyli od bojówek endekich, rzekomo tylko profanujących faszyzm prawdziwy (pisany bez cudzysłowu), który uważano za godną uwagi propozycję rozwiązywania sprzeczności epoki powojennej.

Faktem jest, że to w obozie narodowodemokratycznym atrakcyjność faszyzmu była największa. W 7 tygodni po marszu na Rzym młodzież endecja, demonstrując przeciwko prezydentowi Narutowiczowi, wkrótce potem po obłędnej kampanii nienawiści rozpętanej przez prasę ND zamordowanemu przez endecja Niewiadomskiego, wznosiła przed poselstwem włoskim w Warszawie okrzyki entuzjazmu, skandowała nazwisko duce. Oboz Wielkiej Polski — osobiste dzieło Dmowskiego, założony został w 1926 roku wedle wzorów faszystowskich (choć w programie zawierał jeszcze wiele tradycyjnych zasad polskiego nacjonalizmu), co jednoznacznie podkreśla w swych „Pamiętnikach” (II, 258) sam Stanisław Grabski — jeden z najwybitniejszych przywódców ruchu narodowego, zresztą z powodu dryfowania Dmowskiego i jego zwolenników ku faszyzmowi (a także oskarżony o zawalenie sprawy podczas zamachu majowego) porównany

z nim i całym stronnictwem. OWP stał się dojrzałą kadrą dla Obozu Narodowo-Radykalnego. Tu Dmowski opierając się na młodym pokoleniu endeków zafascynowanych faszyzmem rozprawiał się z dawnymi politykami swego obozu holdującymi metodą parlamentarnej rywalizacji stronnictw. Jak niegdyś, po rewolucji 1905–1907 opuszczali ND ludzie zdeprymowani rolą stronnictwa w godzinie walki wyzwolenczej i tworzyli tzw. Frondę opowiadającą się za programem niepodległości, a przeciwko traktowaniu niepodległości jako wyłączenia „idealu” (pisze o tym kompetentnie w swych wspomnieniach Feliks Młynarski — Warszawa 1971, s. 49–50), jak to czynił Dmowski, tak na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych odchodził od Dmowskiego ludzie nie mający złudzeń co do rzekomej wyższości faszyzmu nad demokracją i prerażeni praktycznym realizowaniem idei antysemitkich przez Młodzież Wszechpolską, Straż Narodową i inne ekspozytury endecji. To są fakty, miła Doroto!

Nie twierdzi, że należy winić Dmowskiego za ekscesy ONR-Falangii, ale o moralnej odpowiedzialności za płonący wcześniej siew można chyba mówić z całym obiektywizmem. J.W. Borejsza w książce „Mussolini był pierwszy...” (Warszawa 1978) cytując odnaleziony w archiwum włoskiego MSZ list Dmowskiego z 2 VII 1926 do Enrico Corradiniego, ideologa ekspansjonizmu włoskiego: „Jestem pewien, że mój kraj będzie jednym z pierwszych, które w swej organizacji wewnętrznej podążą za waszym przykładem. Wydarzenia majowe w Polsce są tylko początkiem kryzysu, który zakończy się dla nas dobrze. Zakończymy ustanowieniem ustroju opartego o ograniczony system reprezentatywny, kontrolowany przez organizację sił narodowych. MASONERIA — pisze dalej Dmowski — z charakterystyczną dla prawicy obsesją na tym punkcie — która widziała szybko ewolucję kraju w tym kierunku, dokonała zamachu stanu, aby ratować swoją rolę i zagwarantować sobie władzę. Lecz jest ona zbyt słaba, aby zachować długo swoją władzę, i może Pan być pewny, że dokonawszy pracy dla nas zostanie zastąpiona organizacją narodową typu faszystowskiego”. Nie więc dziwnego, że Corradini, zachwycony takimi poglądami swego polskiego druha, nazywał go jednym z nielicznych w Europie polityków „janowidzących”, czym chwalił się przed wojną samemu endecy (zob. biogram Dmowskiego w PSB). Gdyby Chrościelewska chciała głębiej i, że tak powiem, u źródła wnikać w meandry myśli Dmowskiego, to mogłaby poddać uważnej analizie jego poglądy wyłożone w nie do końca ukończoną pracę „Na granicy dwóch wieków”, drukowaną w „Gazecie Warszawskiej” w latach 1928–1929, a przestałaby się wielu opiniom dziwić i oburzać. Bardzo pouczająca, choć dość paskudna, byłaby też bez wątpienia lektura takich czasopism, jak np. „Awangarda” (organ Ruchu Młodych OWP — ukochanego dziecka Dmowskiego, rosnącego na przekór obiektywom starych działaczy), „Trybuna Narodu”, czy „Szczerbiec”. Wiele gotowych informacji znalazłaby też w rozprawach naukowych Romana Wapińskiego w różnych rocznikach „Kwartalnika Historycznego”, „Dziejów Najnowszych” itp.

I znowu, jak w przypadku Sokola, niewątpliwie zasługi Romana Dmowskiego w organizowaniu obrony polskości pod zaborami, w szerzeniu patriotyzmu wśród ludu oraz jego praca na Zachodzie podczas pierwszej wojny światowej i w trakcie konferencji wersalskiej, nie są w stanie wymazać innych faktów. W ich obliczu jakąż wartość ma stanowcze stwierdzenie Chrościelewskiej: „Dmowski faszystą nie był”? Taką, jak energiczne i uduchowione na swój sposób uroczyste tupnięcie nóżką i gromkie przy tym veto: „nie! nie pozwalam i już!” Natomiast przytoczona jako jedyny argument wylizanka dat, ukazująca chronologię poszczególnych etapów drogi politycznej Dmowskiego od Ligi Polskiej do „Myśli nowoczesnego Polaka” (1903) w zestawieniu z kalendarzem początków włoskiego faszyzmu, nie jest żadnym argumentem, gdyż mogłaby tylko obalać pogląd, że Dmowski był prekursorem faszyzmu, a przecież nikt takich głupstw nie głosi. Problem jest nie w tym, czy „był”, czy „nie był”, lecz w tym, co to znaczy w ujęciu historycznym, że był „twórcą polskiej odmiany faszyzmu”.

Mimo wszystko uważam, że z książką Koźniewskiego można podjąć polemikę, są w niej bowiem sady godne krytycznego, wielostronnego rozpatrzenia. Np. teza o tym, że wzrost nacjonalizmu w Polsce, wbrew konsekwentnej orientacji antyniemieckiej Dmowskiego, umacniał siły faszyzmu niemieckiego, czy charakterystyka Dmowskiego jako człowieka wewnętrznie sprzecznego i zajmującego dwuznaczną postawę moralną. Istnieją wartości weryfikacji świadectwa z lat trzydziestych, pochodzące z kręgów lewicy społecznej, wskazujące na to, że negatywnej ocenie działalności Dmowskiego towarzyszyło uznanie dla jego postawy osobistej i odwrotnie — pozytywnej ocenie działalności niektórych działaczy lewicy towarzyszyły zastrzeżenia moralne. Są to tematy do frapującej dyskusji, ale chyba w takim gronie, w którym formalna uczoność nie będzie szminkować faktycznej ignorancji w obranym przedmiocie sporu.

JERZY RYMOWSKI
(też dr)

Dalszy ciąg ze str. 1

Młody robotnik ze stoczni, Borowczyk, który z rozczarowaniem stwierdził: „Słyszałem tu o kartoflach, słyszałem tu o węgiu, myślałem, że będzie o filmie”, nie miał racji. Niezbyt może spektakularnie prowadzone obrady, z rzadka tylko okraszone oratorskimi wystąpieniami, dotyczyły także materii kina, choć był to nurt podskórny, wtopiony w problemy techniczne i organizacyjne. Bo właśnie niedostatki organizacyjne uniemożliwiały ujawnianie się rzeczywistych problemów polskiej sztuki filmowej. Jerzy Hoffman zwrócił się wprost do ministra o cofnięcie tych przepisów, które przeszkadzały w pracy kinematografii. O karkołomności dziełszej pracy nad filmem mówiła Barbara Pec-Siesicka z pozycji kierownika produkcji, którego status społeczny przypomina sytuację człowieka związanego kaftanem bezpieczeństwa. Mówiono wiele o nieprawidłowościach rozpowszechniania i dystrybucji filmów, o wymianie z zagranicą, choć jak mi się wydaje istotę problemu uchwycił jeden z wynotowanych przeze mnie zwiszeńców:

— Powinniśmy naszym filmem handlować jak masłem!

— Tylko, że w tym masle powinno być 100 procent tłuszczu.

Osobny nurt dyskusji stanowiła sytuacja filmowego szkolnictwa. Nie ukrywano, że sytuacja w łódzkiej szkole filmowej jest zła, gdyż kierownictwo uczelni izoluje ją od środowiska

twórców, a rektor tej szkoły, jak określił Wajda, jest w konflikcie ze środowiskiem. Trzeba przyznać, że nie najlepsze wrażenie zrobił list doc. Stanisława Kuszewskiego, który usprawiedliwiał swoją nieobecność na zjeździe bra-

Inny scenariusz

kiem zaproszenia. Jeszcze większe zdumienie wywołało to, że rektor uczelni filmowej nie jest członkiem Stowarzyszenia Filmowców Polskich.

Paweł Chwiek, starszy asystent łódzkiej szkoły reprezentujący Komitet Ruchu Odnowy Uczelni, w imieniu grupy pracowników twórczych zarzucił szkole odcieście się od najlepszych tradycji tej zasłużonej uczelni, brak uczestnictwa w krajowym ruchu intelektualnym i zawieszenie w pustce społecznej. Zgłosił także wotum nieufności wobec władz uczelni, które doprowadziły do tej sytuacji. Można powtórzyć, czy zmiana tej sytuacji na lepsze nastąpi wówczas, gdy szkoła przeniesiona zostanie do Warszawy (taką uproszczoną diagnozę zaproponował Andrzej Wajda, tłumacząc, że w Warszawie „będzie nam wygodniej”), ale na pewno musi zastanawiać i nie można bagatelizować

tego punktu rezolucji zjazdu, który stwierdza: „Zebrani domagają się podjęcia radykalnych decyzji w sprawie uzdrowienia szkolnictwa filmowego w oparciu o zasadę demokratycznych konsultacji ze środowiskiem studenckim, kadrą

dydaktyczną oraz ze Stowarzyszeniem Filmowców Polskich.”

W związku ze szkołą filmową i zresztą nie tylko z nią, wiele miejsca zajęły problemy młodych. Krytykowane dzisiejszy sposób promowania debiutów. Jako zdecydowanie niekorzystne zjawisko oceniono fakt, że większość absolwentów szkoły filmowej całymi latami pozostaje bez pracy i postulowano utworzenie w Polsce studia filmowego im Karola Irzykowskiego na wzór węgierskiego studia Balasa, które w zasadzie rozwiązało problem zawodowego startu młodych realizatorów.

Nie sposób w takim krótkim sprawozdaniu, spisywanym na gorąco po zakończeniu obrad, przedstawić wszystkich problemów poruszonych przez zjazd, tym bardziej że obok spraw zasadniczej wagi dochodziły do głosu także

problemy drobnych korektur, a zaniechania i nieprawidłowości nawarstwiały się całymi latami. Z dyskusji wynotowałem te sprawy, które wydawały mi się najważniejsze, choć można spierać się o wybór.

Za największy sukces tego zjazdu można uznać fakt, że udowodnił on, iż Stowarzyszenie Filmowców Polskich jest jedną reprezentacją twórczych i materialnych interesów środowiska. Czy w pełni autonomiczną i samorządną, a zwłaszcza czy demokratyczną, pokaże to czas. Czas pokaże także, czy środowisko filmowe spełni swoją obywatelską powinność wyrażoną w uchwalonym na zakończenie „Manifestie”:

„Kultura jest tą najwyższą wartością społeczną, która jednoczy nasz naród, pobudza jego aspiracje, przechwywa jego najświętsze i najgłębsze przekonania, umacnia jego postawy moralne. Nie może istnieć Polska sprawiedliwa i ludowa bez głęboko wrośniętej w lud i sprawiedliwie oddzielonej kultury narodowej.

Obowiązkiem nas, ludzi filmu, jest to, aby z ekranu przemawiała prawda, aby uczucia, które budzimy, pomagały milionom widów rozumieć świat, odnajdować swoje miejsce wśród złożoności zjawisk, buntować się przeciwko złu, optować po stronie sprawiedliwości. Uważamy, że dzieło naprawy Rzeczypospolitej nie może dokonać się skutecznie bez udziału ambitnej, społecznie użytecznej sztuki filmowej.”

KONRAD FREJDLICH

Nasz pozornie spokojny i leniwy dzień zakończyła niespodziewanie burza. Krążyła od południa po okolicy dając o sobie znać błyskami i przeciągłym pomrukiem, wreszcie po kolacji dotarła i do nas. Doprowadziła ją chłodny wiatr, szum drzew i drobny, dokuczliwy deszcz. Nad Wisłą stanęła wielka chmura, z której jak z dziurawego worka sypnęły zygawkowate pioruny, pogiębane nieustannie ciemnością i głuchymi grzmotami.

Ukołysany deszczem, a może myśleniem o początku swojego świata, zasnęłam nie wiadomo kiedy. Nad ranem obudziły mnie głosy dorosłych i dzieci biegających w stronę Wisły. Nie ubierając się poszedłem za nimi, żeby zobaczyć co się stało. Dzień zapowiadał się pogodnie i upalnie, tam, gdzie w nocy błyszczała woda, widać było ledwie wilgotną i odświeżoną ziemię. Wisła w ciągu jednej nocy stała się ogromną i niebezpieczną rzeką. Jej brudne wody sięgające podnóży Pieprzówek, opierając się o wał, pędziły na oślep wezbranym po środku nurtem i towarzyszącą mu szeroką gładką ławą, unosząc powyrwane drzewa, resztki zabudowań, drewniane i słomiane dachy, pojedyncze sztuki inwentarza, chyba potopione świnię, może zwłoki ludzkie, kopy siano pożywane mostki, wykradzione deski i białki. Niektórzy mieszkańcy Krowisk, przeważnie mężczyźni, pływali w pobliżu wału na zbitych z desek łodziach przywiązanych do wierzb, starając się przy pomocy bosaków wyłowić lub wyrwać z gardła żywiołowi jakiś lepszy kęs drewna. Nad terenem tego osobliwego łowiska krążyły rybitwy machając nieustannie skrzydłami i popiskując jękliliwie.

— Z naszego wyjazdu do Solca nici? — spytałam Wiktora patrzącego na rzekę wodę.
— Chyba... — odrzekł w zamyśleniu.
— Wobec tego idę do miasta, muszę wreszcie spotkać się z Zabczycem.

— Kup mi pastę do zębów i dwie pocztówki.

• • •

— Nareszcie, myślałem, że już nie zażyję przywitał mnie Janek otwierając drzwi i zapraszając do środka.

— Skąd wiesz, że tu jestem?

— U nas jak ktoś pierdnie w rynku, to wszyscy o tym wiedzą.

— Zmieniłeś adres, nie mogłem cię odnaleźć.

— Pięć lat pracy w hucie i kłobowania w hotelu, to wystarczy. Podziękowałem im za jedno i drugie i wróciłem do miasta.

— Stuszenie, ja bym też tak postąpił.

Janek poznałem na otwarciu domu kultury, na którą to uroczystość przyjechałem z myślą, żeby coś o tym wydarzeniu napisać. Jasięk, podobno potomek autora koled z siedemnastego wieku, był trochę plastikiem, trochę poetą, sceptykiem i taki właśnie przypadł mi do serca. Od tego czasu spotykaliśmy się jak nie w Kielcach, w Klubie Dziennikarza, to u niego w Sandomierzu.

Usiedliśmy przy stoliku, naprzeciwnie regalu, w którym obok Patkowskiego stał Kosiela, a w sąsiedztwie „Studiów Sandomierskich” znajdował się Iwaszkiewicz, Burek, Myśliwski, Nowak, Kawalec, Bryll, Jachimowski, szkatułka „Fonidzia”...

— Nie oglądaj książek, tylko mów, co cię tu przyniosło — powiedział stawiając butelczynę, kieliszek i jakąś zagrychę. — Czy to prawda że Dąbrowa wille buduje w Krowiskach?

— A wiesz, że łapaliśmy ryby na drygę?

— Gdzie?

— Pod Zawichostem.

— Czym pojechaliście?

— Motorówką. Wczoraj mieliśmy popłynąć do Solca, ale Wisła przybrała.

— To wy nawet motorówkę macie?

— Dlaczego nie.

— Człowiek się od rana do wieczora nautyka i na jawkę nie może uzierać.

— Widocznie słabo zbierasz.

— Teraz jak nie pokombinujesz, to nie pojedziesz. W takim Sandomierzu tylko ginekologom się żyje, bo Kierbel już wysiadł.

— Co za Kierbel?

— Zapomniałeś? Icek Kierbel z Ostrowca, ukradł nazwisko sąsiadowi, który zginął na wojnie i jako Kargul narobił tu u nas różnych świństw.

— Były kierownik wydziału zdrowia w powiatowce?

— Więc buduje Dąbrowa tę wille, czy nie buduje? — powrócił do pytania, które go widocznie nurtowało.

— Ma zamiar wybudować, ale coś w rodzaju pracowni.

— Pracownię?

— Przecież on jest architektem, a jego żona maluje.

— Takie pracownie powinny być u nas na starówce, a nie gdzieś w polach, czy na wiośniach zabitych dechami.

— Zależy, co komu odpowiada.

— Powiedzmy. Byłeś już w hucie?

— Wybieram się.

— Powinieneś coś o hucie napisać, uświadomić niektórym kacykom jej znaczenie. Poza tym namawiałbym cię na Stare Miasto, ciągle obstawione i rozgrzebane. Chciałoby się, żeby na dziesięć wieków Sandomierza wszystko zostało zatłuwione...

— Masz rację, trzeba o tym napisać, ale wprawdzie muszę zakończyć to, nad czym siedzę.

— Powiedz wreszcie, co to jest?

— Dzieje dwóch rodzin, ale nie o krzyżówkę chodzi. Na ich przykładzie chciałem pokazać to, co przemija, i to, co pozostaje.

— I do takiego tematu zbierasz u nas materiały?

— Procesy, te występują wszędzie.

— Nie wierzę.

— Jak skończę książkę, to się przekonasz.

— To ty książkę piszesz?

— Uhm.

— To mnie zastrzelili.

— Z lektur widzę, że i ciebie to samo boli.

— Boli, nie boli, każdy chciałby, coś dla swojego miasta zrobić, ale tutaj nikogo nawet łosem nie ruszysz. Mam na myśli wiersze i grafikę o Sandomierzu. Byłem nawet u przewodniczącego, ale on jest od wszystkiego, tylko nie od tego.

— W Kielcach też nie jest różowo, ale jak chcemy coś zrobić, to robimy.

— Bo was jest kilku takich, którzy chcą coś zrobić.

— W Sandomierzu nie możecie się skrzyknąć?

— Skąd takich weźmiesz?

— Są nauczyciele, kadra techniczna, lekarze, rzemieślnicy, robotnicy, młodzież, powołajcie jakieś towarzystwo kulturalne, spróbujcie ułożyć program.

— To było dobre za Patkowskiego, cały ten zaściankowy regionalizm.

— Przy pomocy huty możecie wypłynąć na szersze wody.

— Płynie Wisła, płynie — podniósł kieliszek.

— Myślisz się, redaktorze. Problem jest bardziej złożony. Według mnie, tak zwana stara inteligencja odnosiła się przeważnie z rezerwą do tego, co się w Polsce po wojnie działo, i ta w tej swojej opozycji zarzewiała i tak odchodziła. Miejsce tej inteligencji zajęli synowie chłopów, robotników, drobnych ziemian, którzy pokochali studia i ciągle się dorabiali i dorobić nie mogą, ale najgorsze jest to, że dopasowują cały swój żywot do starych wzorów, że odgrywają rolę napisane przez poprzednie pokolenie. Oni po prostu nie dorosli do tego, żeby życie i świat odkrywać i zdobywać, żeby je tworzyć na nowych zasadach. Można dopiero ich dzieci, chociaż i one zostaną przez nich zarażone starzyzną, może więc ich wnuki, albo prawnuki stworzą nowe kategorie myślowe, moralne, estetyczne...

— A jak siebie widzisz w tym środowisku?

— Nie zaakceptuję go.

— To tyle co szczere chęci, którymi piekło... i tak dalej.

— Mój przodek ułożył przynajmniej kilka koled, a po mnie co zostanie?

— Ożenisz się, będziesz miał dzieci.

— Napijmy się za twoją książkę — znowu podniósł kieliszek.

— Myślę o tym, co powiedziałeś, ale nie tak pesymistycznie.

— Dziennikarze to zawodowi optymiści.

— Może. Wszystkiego dobrego?

— Gdyby dom kultury stanął w śródmieściu Sandomierza, a nie przy hucie na prawym brzegu Wisły — mówił — to jestem przekonany, że życie kulturalne miasta wyglądałoby dziś inaczej. A tak to ani tam nie, ani tu nie. Dzięki głupocie kilku panów na stanowiskach mamy podwójne nic. I choć jestem optymistą, to ten przykład potwierdza jednak moją tezę, że wielu panów magistrów, inżynierów, doktorów, dyrektorów i kierowników nie dorosło do aktualnych potrzeb społecznych, gospodarczych i kulturalnych. Bardzo mi się podoba to, co Jachimowski napisał po otwarciu tego domu kultury, ale kto dziś czyta poezję.

— Siedząc po znany mi tomik i kartkując go czytałem: „Więc zostaliśmy zaproszeni... Mieliśmy mówić o literaturze i sztuce... Jakis z broda i żoną dla powagi mówili: wystarczy kilka dwuliniowych marnieć pedzłem i to nie sztuka. Dureń. Datem mu jeszcze raz do zrozumienia, żeby zajął się żoną... Poezji potrzebowała nieeliczni i dziś jej nieeliczni... Choć dziadek jej był Włochem, nikt z nas nie odnalazł w niej piękna... Powiedziała o życiu banalnie, że jest chwila... Głód wziął nas za brzuchy nasze... Postanowiliśmy już wyjść ze spania i coś zjeść. Jeszcze umówiliśmy się tu na piękno, czy na przyszłe udane spotkanie o poezji i sztuce... Przesada donosi, że dokonaliśmy gwałtu na ich miłości. Iż poezja nie może od życia, jeżeli odbiega, staje się śmieszna grą słów...“ Całe miasteczko w tym jest.

— Przypomniało mi się i otwarcie wystawy malarstwa, i biesiada literacka, i nocne garden party w polu. Janek odegrał znaczącą rolę w przygotowaniu tych imprez i sądziłem, że zostanie kierownikiem nowej placówki. Owcześni szefowie huty obsadzili jednak to stanowisko kims, kto się do niczego nie nadawał. Kiedy następnego dnia zagadnąłem ich o to, odrzekli

kollektywnie, że oni są od produkcji szkła, więc na kulturze nie muszą się znać.

— A ty gdzie pracujesz? — spytałem rozlewając resztę wódki.

— Teraz w miejskiej radzie.

— Toś dupa wolała, jeżeli nie potrafisz nic dla miasta zrobić.

— Ja potrafię dla miasta, ty dla gazety, obydwaj potrafimy...

— Dowiedziałem się, że Wistojanki urządza cie...

— „i żeśmy wiele zyskali, boświa się napisali“, pisał już Mikołaj Rej.

— To zależy od treści, jakie uwzględnicie.

— Miejscowe.

— Możecie przecież ściągnąć kielecko-rzeszowskich pisarzy z Warszawy, w Solcu mieszka i tworzy Waszko, w Męczenicy Józef Opala, w Woli Grójeckiej Gutek Hadyna z Nadbrzezia pochodzi Adam Myjak, w Krowiskach siedzi Maria Dąbrowa, sporo obrazów namalowała. Można naprawdę dużą wystawę malarstwa i rzeźby urządzić, do tego jakąś sesję naukową poświęconą sprawom rolnictwa, bo w tej dziedzinie jesteśmy do tyłu, dacie trochę folkloru na estradzie pod ratuszem, ogniska nad Wisłą, puszczanie wianków...

— W tym dniu są moje imieniny.

— Rzeczywiście.

— Zapraszam cię wraz z małżonką.

— Dziękuję, a co z wystawą?

— Niech się kultura martwi, ja jestem od papierków i pieczętek, tu pisemko, tam pisemko, tam przemówionko, tu pieczętka, tam znaczek i tak leci...

— Popracujesz rok i będziesz mądry jak biurko szefa.

— Ja go chromość, jego biurko, pieczętka, sekretarki, wszystko...

— Janek był wyraźnie „zmęczony“ i przedłużanie spotkania nie miało sensu, tym bardziej, że butelka już dno pokazała.

— No to do imienin...

— Wiesz co, chodźmy do Grójeckiego, napijemy się księżycówki.

— Późno już.

— Możesz u mnie przenoćować, rano polecimy wożem służbowym, albo ostatnią dorożką, albo pierwszym karawanem, czymś będziesz chciał.

— Spacer dobrze mi robi.

— No to maszeruj, panie dziennikarzu, maszeruj. Tylko nie ułoń po drodze.

— Umiem pływać.

— Nie mów hop. Wiesz, co mój praszczur i wierszopis napisał? Nauka, prawo budowanie, załoty i leki — pilności i dostatku potrzebują.

— Z tamtej strony Wisły kąpała się wrona, pan porucznik myślał, że to jego żona...

Coś mnie podkusiło, żeby do Krowisk wrócić na skróty. Za Wisłą zszedłem z wału i ustawiłem kierunek na złamany dyszel Wielkiego Wozu brnąłem mozołnie przez mokre pola, łąki granice i porośnięte czymś zagłęb. Noc była ciepła i łagodna, otulała szarą opończą szumiącą nieustannie rzekę, wioski obejścia, domy, pomęczonych ludzi i zwierzęta. Gdzieś bardzo daleko zaszczekał pies, ale mu nawet echo nie odpowiedziało. Gwiazdy świeciły jasno nad ciemnymi plamami drzew i wyżej nad moją głową. Wielki Wóz ze swoim dyszelem przesunął się w bok, w Sandomierzu świeciło się jedno okno, nad hutą jaśniała przeźroczysta luna, wokół mnie rozciągała się lepka ciemność. Sięgnąwszy do kieszeni po papierosa, poczułem, że spodnie mam do pasa mokre. Wyrzuciłem zapalnik i ruszyłem obierając kierunek na światłeczko, które wydało mi się żarówką na naszej budowie. Znowu się władowałem w jakiś rozkiszony zagon i z trudem wyślizgałem z błota nogi. Światłeczko było coraz bliżej i wabiło mnie ku sobie. Postanowiłem ten ostatni odcinek przebiec. Zebrałem w sobie siły i ruszyłem świąskim truchtem, ale po kilkunastu metrach potknąłem się o coś i ległem między ostami, w kępie wilgotnej trawy „Pastwisko“ — powiedziałem głośno, sprawdzając dłońmi powyżerane przez krowy miejsca. Podałem sobie szybko wiedząc, że zaraz dojdę do starej wierzb, a od niej trochę nawet po omacku do namiotu. I znowu odezwał się ten pies, ale jakby gdzieś bliżej. Jego przeciągłe wycie zabrzmiało jak skarga na samotność. Od strony Wisły, w wikłach, pisała niespokojnie rybitwa i znowu przesterżała nad pastwiskiem żółtą wezbraną falą cisza. Przesunąłem się przez nią po omacku wiedząc, że za chwilę odnajdę tę wierzbę i wtedy nawet wściekły mi nie zagrozi. Ale drzewa jak nie było, tak nie było, ani przede mną, ani za mną i zacząłem mieć wątpliwości, czy w ogóle istnieje, niemniej forsowałem uparcie otaczającą mnie pustkę.

I nagle zamajaczyła przede mną ta wierzb, wielka i głowiasta, znana mi od dzieciństwa i bliska jak pamięć o prababce, której nigdy na oczy nie widziałem, ale którą znałem jak swoją prawą rękę. Podszedłem do niej i objąwszy ramionami, przytuliłem do jej starej chropowatej twarzy. „Prababciu moja, babciu i matko nadwiślańskiego krajobrazu — mówiłem — duszo mojej duszy, serce mojego serca. Oj, chodźże przez tyle lat od ciebie, wracam i znowu odchodzę i nigdy się od ciebie nie wyzwolę, ani ty ode mnie i tak będziemy istnieć w sobie i trwać, ginać i odradzać się bo taka jest nasza natura i wola, prababciu moja, babciu i matko naszej ziemi.“ Odmówiwszy modlitwę do wierzb, już bez trudu trafiłem na działkę i wszedłem na czworakach jak pies do swojej budy i ściągnąwszy z siebie łachy, skuliłem się jak embrion pod kołdrą i zasnęłam snem sprawiedliwie zmęczonego człowieka.

Fragment powieści przygotowanej dla Wydawnictwa Łódzkiego.



Bożena Markowicz „Ciężarna” 1980

HENRYK ZASŁAWSKI

KIEDY MNIE NIE BYŁO

trwał inny zachód słońca
dzika plaża rozgrzana do białości
parzyła stopy ogniem oczekiwania
dzień kończył się w krzyku odlatujących
mew Hitchcocka
dwoje zakochanych w milczeniu
szło brzegiem morza
kamień smagany deszczem rozpadł się
na tysiąc mrówczych skal
ktoś spóźniony modlił się jeszcze
do umarłego boga poezji
samotna kobieta oczekiwała na rozwiązanie
wiatr odpływał ciemnymi żaglami drzew
kiedy mnie nie było
ktoś za mnie napisał ten wiersz

WYZNANIE WIARY

wierzę w głos serca opuszczonego przez bogów
wierzę w głos sumienia od którego odeszli ludzie
wierzę w poetów wiernych samym sobie
wierzę w głos wolającego na pustyni ulic
wierzę w istnienie planet których nie ma
wierzę w dobry dzień dla urodzonych zle
wierzę w przyjaciół którzy mnie opuścili
i w nieprzyjaciół którzy będą ze mną
wierzę w prawdę którą przepowiada serce
wierzę w nieśmiertelność nienarodzonego
wierzę w słońce jak wierzę w słowo które nie jest ocaleniem

Te obrazy pokazał Grzywacz także w warszawskiej. Zachęcie na wystawie „35 lat malarstwa w PRL”.

Zelektryzowały one widzów. Pytano głośno: cenzura to puścila? Puścila, choć obrazy te dawały się czytać w sposób narzucający wręcz interpretację. Były kontestacją i artystyczną i społeczną. W Łodzi, na sympozjum towarzyszącym Triennale, przyszło mi bronić prawa artysty do kształtowania swojej wypowiedzi tak, jak on sam zdecydował; to właśnie Grzywaczowi zarzucano, że jest „okropny”, „nie do przyjęcia”, „nieładny”, „antystetyczny”.

Przewartościowały te obrazy rzeczywistość propagandy wizualnej w sztuce, forsowały wręcz konieczność mówienia prawdy, wbrew uludzonemu, ugrzecznionemu już od dawna kanonem artystycznym. Były naprawdę antye-

REALIZM METAFO- RYCZNY

stetyczne, jeśli estetykę utożsamiamy z pięknem. Ich znaczenia zawarte w przedstawionym świecie były tak wyraźne, że Marceli Bacarella określił obrazy Grzywacza jako wręcz agitacyjne.

Zbyłuta Grzywacza i jego obrazy przywołałam tu dlatego, że jego widzenie świata narzucało się z obrzydliwą ostrością. Ale ostrości widzenia i jego konsekwencji w przekazywaniu artystycznym nie zabrakło w twórczości wielu innych malarzy i grafików, zaliczanych do tak zwanego nurtu metaforycznego w plastyce polskiej.

Nie moda i nie przypadek spowodowały, że nurt ten wyrósł i rozwinął się w latach siedemdziesiątych we wszystkich środowiskach artystycznych w kraju. I nie przypadkiem właśnie w Łodzi dokonano przeglądu sztuki metaforycznej, organizując trzy kolejne Triennale Malarstwa i Grafiki. „Nasz czas — metafora — tendencja”. Krytyka artystyczna, usiłująca awangardowo dorównać awangardzie sztuki światowej, prawie nie zauważyła, jak tuż obok niej kształtuje się inny niż awangardowy sposób myślenia artystycznego, wartościowania rzeczywistości przez sztukę. Doczekał się opracowań krytycznych i teoretycznych polski nowy — czy jak kto woli — hiperrealizm. Wielu zwolenników znalazł konceptualizm, nawet z jego skrajną odmianą. Na „metaforę” albo przysłowiowe psy wieszano, albo odwracano się od niej, uważając, że to sztuka epigonalna, literacka, z anegdotą, słowem — ta gorsza.

Jedynie poważne stanowisko zajął wobec niej Henryk Anders, łódzki historyk sztuki. Poza nim nikt nie zadał sobie trudu, żeby podjąć wyczerpującą analizę krytyczną tej sztuki, znaleźć jej źródła, określić postawy jej twórców, odczytać metaforykę. A sztuka ta, jak żadna inna, niosła w sobie wielki ładunek informacji i znaczeń. Wielorakich. Co usiłowało precyzować, jakich syntez szukała, jakie niepokój egzystencjalny wyrażała, o czym „nie wprost” mówiła — wszystko to nie stało się niestety przedmiotem głębszego zainteresowania krytyki. Nie podjęto również rozważań teoretycznych, które mogłyby nazwać istotę

metafory w sztukach plastycznych. Tylko wystąpienie Ryszarda Konrada Przybylskiego podczas sympozjum z okazji ostatniego, III Triennale w 1979 r. w Łodzi zbliżyło się do problemu.

Łatwiej zrozumieć sens rzeczy, kiedy jest ona faktem dokonanym, trudniej widzieć i precyzować jej sens, znaleźć jej wartości, kiedy dopiero się staje. Procesowi narastających napięć społecznych towarzyszyła sztuka metaforyczna szukając artystycznym równania do rzeczywistości.

Kto tej sztuce przyglądał się dość uważnie? Galerie sztuki z roku na rok pustoszały.

Teraz też nie jest w nich pełno. Coraz mniej-szy jest krag odbiorców. Czy krytyka sztuki nie oddziela ich od twórców i procesu twórczego? Preferowała wciąż zjawiska, które są echem, odbiciem zjawisk zachodzących w sztuce poza krajem, a które słabo, albo wcale, nie dotyczyły przemian naszego społeczeństwa. A istnieje przecież u nas potrzeba ciągłości sztuki w oparciu o tradycję narodową. Dowodem tego było zainteresowanie odbiorców dwoma wystawami: „Romantyzm i romantyczność” oraz „Polaków portret własny”.

W nurcie metaforycznym widzę bezpośrednią kontynuację obrazowego, artystycznego myślenia kategoriami symbolu i metafory, kształtowanymi przez artystów w oparciu o ich doświadczenia społeczne, wiedzę o społeczeństwie i o sobie — jednostce uwikłanej w relacje społeczne. Dla tych twórców nie są najważniejszą sprawą tożsamości ze światową awangardą artystyczną. Oni zajmują postawę, którą socjolog amerykański David Riesman w swojej książce „Samotny tłum” określił jako „żyroskop społeczny”.

Nie po to jednak piszę o nurcie metaforycznym, żeby udowodnić, że jest on bardziej interesujący od innych tendencji w sztuce współczesnej, choć semantycznie „sztuka metafory” jest bardziej niż inne pojęciem, podatna i zdolna przetwarzać informacje płynące spoza artystycznego świata, a pole jej poszukiwań jest praktycznie nieograniczone.

Czy więc krytyka widzi dobrze? Czy widzenia nie przesłaniają jej granice, jakie sama sobie wyznacza, dokonując wyborów zawężających obszar wydarzeń artystycznych?

Sztuka znalazła się w sytuacji dość paradoksalnej. Lata siedemdziesiąte pozwoliły na jej rozwój i osiągnięcie wysokiego poziomu. Jednocześnie traciła odbiorców i... mecenat. Stała się autentycznie sprawą mentalności artysty, który tworzył ją z potrzeby tkwiącej w nim, choć zdawał sobie sprawę, że to co tworzy, pozostaje w zamkniętym, wąskim kręgu społecznym.

Po co otwierać nowe galerie? Kto je będzie odwiedzał? Kto potrzebuje sztuki? Kto będzie kupował coraz rzadziej kupowane obrazy, grafiki? Komu prezentować własną twórczość i przeżywanie świata? To pytania, jakie nie po raz pierwszy stawiają artyści. Jest w nich gorzka prawda, że byłaby pora najwyższa serio traktować proces edukacji społecznej przez sztukę.

Głoszona od wieku śmierć sztuki może nastąpić jeśli sztuka nie będzie miała odbiorców. Nie może bowiem istnieć w społecznej próżni i przy wiatkach jakby „reanimacyjnych” zabiegach, instytucji powołanych do jej upowszechniania. Zapobiegać powstawaniu tej próżni musi między innymi krytyka. Teraz, jak nigdy dotąd, potrzebny jest jej nowy model i nowe miejsce.

MARIA KĘPIŃSKA

„WŁOSZKA” PO WŁOSKU

„Naprawdę szkoda przeprowadzać sekcję tego stworzenia uroczego jak motyl” — napisał Francis Toye przystępując do analizy i oceny „Włoszki w Algierze” Gioacchino Rossiniego, pierwszej opery tego kompozytora, od której zaczęła się jego sława.

„Włoszka w Algierze” to klasyczna opera-buffo, nazwano ją nawet niegdyś opatezją tego gatunku. Dzieło Rossiniego skrzy się doskonałym dowcipem, a jego warstwa muzyczna urzeka miłośników opery od dnia pierwszego przedstawienia tak dalece, iż z łatwością przynikają oczy na niedostatki nie tyle wątpliwe, ile, aż banalne w swych nieprawdopodobnych zdarzeniach libretta.

Łódzcy melomani po raz pierwszy mają okazję zetknąć się z „Włoszką w Algierze”. Nigdy przedtem nie gościła ona na naszej scenie, a i inne teatry powstrzymywane zawartymi w partyturze ogromnymi wymaganiami wobec wykonawców nie sięgają po nią z obawy, iż nie sprośzą tym wymaganiami, nie dadzą o sobie świadectwo. Istotnie — rzecz jest bardzo trudna, wymaga perfekcyjnego opanowania warsztatu wokalnego i by nie stała się nużącym koncertem w kostiumach — również doskonałej techniki aktorskiej. Bardzo trudna partia tytułowa, niesłychanie skomplikowane sceny zbiorowej karkołomne wręcz iluzje obywateli — to zadania, których podjęcie się mogą tylko artyści najwyższej klasy. Już śliczna, znana z koncertowych wykonawców uwertura do „Włoszki w Algierze” daje przedsmak finezyjnej konstrukcji i zmienności w nastrojach klimatu dzieła, którego całość urzeka mozaikową mnogością barw i odcieni muzycznych.

Na premierę „Włoszki w Algierze” spieszyliśmy zatem pełni ciekawości dla mało u nas znanego dzieła i zemocjonowani wieścią, iż jej realizatorzy powzięli zamiar zaprezentowania go w oryginalnej wersji językowej. Stopień artystycznego ryzyka był tu dosyć znaczny: inscenizacja mało znanego i wcale nie łatwego dzieła Rossiniego w języku niezrozumiałym dla większości odbiorców wydawać by się mogła zamiarem tyleż ambitnym, co i pozbawionym szans większego powodzenia. Tymczasem — jakże miło to stwierdzić — spektakl stał się sukcesem jego realizatorów i wykonawców. Ale też i inwencją wykazali się oni nie tylko w dziedzinie „Włoszki w Algierze”, ale i w dziedzinie „Włoszki w Algierze” — Rossiniego polskiemu twórcy jest najważniejsze to fakt, że osiągnął ten cel nadający one „Włoszce w Algierze” na łódzkiej scenie nową wartość, a że z dzieła wielkiego Włocha uczynił zabawę nieczym telewizyjną „starą”, „Opowieści na dobranoc” uniwersalną przypowieść z pikantnym podanym morałem.

Spektakl przygotowano niezwykle starannie, zwraca w nim uwagę troska o każdy szczegół, z prawdziwą więc radością witamy go na scenie, której ostatnim wielkim sukcesem był mający swą premierę już trzy lata temu „Wolny strzelec”. Takie dopracowanie szczegółów wymagało od realizatorów łódzkiej inscenizacji dzieła Rossiniego wielkiego trudu, ale był on ze wszechmiar opłacalny, pozwolił bowiem wcielić Teatrowi Wielkiemu wcale niemożliwą stawkę artystyczną, a melomanom naszego miasta przynosił przedstawienie, na którym mimo bariery językowej bawili się będą świetnie. Bariera ta zresztą wieloma zabawnymi sposobami została niemal zupełnie zniesiona, jeśli zaś owoych sposobów jakim ją pokonano nie będzie tu opisywać, to tylko dlatego, by nie odebrać czytelnikom emocji pysznej zabawy. Ze zaś do oceny jakości artystycznej całego przedsięwzięcia jestem zobowiązany, powiem przeto iż ta właśnie jakości łódzkiej inscenizacji „Włoszki w Algierze” wydaje mi się bardzo wysoka. Pisałam już o widocznym trosce twórców tej inscenizacji o jej właściwy, pełny kształt artystyczny. Troska ta pozwoliła na usytuowanie całego widowiska na najwyższym poziomie. Na uznanie zasługuje warstwa muzyczna przedstawienia. Sprawujący jego kierownictwo muzyczne Wojciech Mielchewski zadbał o właściwe brzmienie orkiestry znakomicie różniące tempa i klimat całości. Drobne polknięcia intonacyjne w solowych partiach instrumentalnych uwertury były kwestią li tylko premierowej tremy, bo nie słyszałam ich już w czasie drugiego, niedzielnego przedstawienia. Podobną tremę przeżywać musieli: po raz pierwszy występująca na naszej scenie niezwykle utalentowana i wielką opromieniona już sławą, młoda śpiewaczka Ewa Podleś (wykonawczyni tytułowej partii „Włoszki” Izabelli) i dawno już nie słyszany u nas Paulos Raptis, Oboje zresztą — nie czekając już nawet drugiego przedstawienia — całą pełnię swego kunsztu wokalnego zaprezentowali w premierowym spektaklu w drugiej jego części. Ewa Podleś oddarła nam ładnie brzmiącym mezosopraniem z podziwu godną lekkością pokonała wszystkie zawiłości swojej partii, szkoda tylko iż powstrzymała się od zaprezentowania pełni brzmienia swojego głosu, którym tak wspaniale operuje. Paulos Raptis, najpiękniej wykonawca „Włoszki” Izabelli, w drugim przedstawieniu i słuszenie też nasrodzone tego cieszącego się ogólną sympatią i uznaniem śpiewaka huraganowymi i zaiste brawami. Oboje królowali w finałowych scenach zbiorowych przydając im pełnego blasku i finezyjnego brzmienia. Z grupy głównych wykonawców

wyróżnić pragnę Włodzimierza Zalewskiego. Ten młody śpiewak z premierą na premierę wspólnie rozwija swój bardzo już wysoki kunszt wokalny, a w partii Mustafy znalazł znakomity materiał dla swego żywiołowego temperamentu i olbrzymich zaiste umiejętności aktorskich. Rozwinął je więc w całej pełni i dzięki temu widzowie zgromadzeni na sali Teatru Wielkiego podziwiać mogli nie tylko kreację wokalną, ale i aktorską. Rolę Mustafy tegoroczny laureat Srebrnego Pierścienia Włodzimierz Zalewski wpisał może na wcale niemożliwą listę swych znaczących osiągnięć artystycznych. Nader szczęśliwy dla całości spektaklu okazał się dokonany przez wykonawców głównych ról wybór tych środków aktorskiego wyrazu, które uczyniły je charakterystycznymi, a przez to bardziej zabawnymi i bliższymi dzisiejszemu widzowi. Na takie środki obok wymienionych już tu śpiewaków (a zwłaszcza Paulosa Raptisa) zdecydowali się: Krystyna Horbach-Walaszek (bardzo szlachetnie i czysto śpiewająca partię Elwiry) oraz Jerzy Jędrzak, który w roli Tadeusza, ignorowanego wielbiciela zakochanej w Lindorze pięknej Włoszki raz jeszcze potwierdził wysoką klasę swojej sztuki śpiewaczej i talentu aktorskiego. Nie wielką partię, Zulmy z kulturą wokalną i wspartym urodą talentem aktorskim wykonała Izabella Kobus, zaś w roli Haliego wystąpił z powodzeniem Krzysztof Leszczyński. Znakomicie spisał się w tym przedstawieniu chóralistów. Śpiewał on czysto i co równie godne uwagi — dobrze wywiązał się z istotnych dla całego spektaklu zadań aktorskich. Nie sposób też nie wspomnieć o grupie baletowej, której udział ożywił całe przedstawienie. Słowa głębokiego uznania kierując pod adresem twórców scenicznego kształtu łódzkiej inscenizacji „Włoszki w Algierze”. Reżyser Lech Komarnicki uczynił to przedstawienie żywym, toczącym się w prawdziwie włoskim rytmie widowiskowym. Znakomicie rozwiązała sytuację, wiele ciekawych pomysłów inscenizatorskich dało bardzo dobry efekt i świetnie „zobrazowało” dynamikę strony muzycznej. Scenografia będąca dziełem Liliany Jankowskiej, tyleż barwna co i dowcipna, przypominała nam najlepsze czasy łódzkiej sceny operowej i wspomagając zamysły reżysera ukierunkowała spektakl w stronę zabawy niemal komiksowej. Choreografia Janiny Niesobskiej świadomie najprostszy operując środkami ożywiła całe przedstawienie, które bez niej byłoby statyczne i mniej zabawne. Stylowość aktorskiej strony łódzkiej inscenizacji „Włoszki” jest zasługą Erminy Magnetti, która przwiechała do naszego teatru z dalekiego Rzymu, by pomóc polskiemu artyście w nadaniu właściwego kształtu dziełu jej rodaka.

EWA PANKIEWICZ

POEZJA

HENRYK HARTENBERG

ŚWIAT NADZIEI

Przez kredowe tchnienie
Przez czas zaklęty w gorącej krwi
Przez płomień katedry
Z której pozostał
Popiół
Widzę ich zamienionych w ciszę
Zastygli w bezruchu
Ogromni

Korczak i Kolbe

Ich śmierć była zaprzeczeniem
Ich życie nadmiarem snu o ziemi i niebie
Czy musieli odejść ażeby powrócić z otchłani nocy
Ich popiół rozsiany po wszystkich kontynentach
Bezimienny wiatr poniosł aż po horyzont trwania
Oddał rzekom oceanom gór
W każdym wymiarze czasu odnajduję Ich ślad
Ich cienie są wśród nas
I zawsze biją dzwony na trwogę
I zawsze gore krzak ocalenia

Zawsze

Tylko smuga światła sączy się
Ze skrzydlatego sklepienia zapadającego powoli
W przepaść rosnącej ciemni
Tylko liś skapaną w rzecę poznania
Dźwignięty do strąkanego serca
Przynosi tragiczne złudzenie
Tylko ścieża kolumna ukryta w bluszczu
Bieleje w martwiejącej ciszy
Tylko kamień nieznośny oddechem dnia
Jeszcze czuwa na rozstaju dróg
(Może to znak trwania)

Wtedy otwieram strumień deszczu
Niech oczyści niebo ziemię czas
Słyszę przypływ i odpływ ogromnej fali gniewu
I nienawiści
Widzę kształt materii rozpadającej się w wieczność
Widzę cień
Niepokonanych
Na wilgotnym piasku
I czerwien
Która do krwi powraca kanałami nadziei

Przeminał wiek
Ciemne wody odeszły w głąb niewidzialnego oceanu
Pozostały obłoki zastygłe wśród ciszy
Pozostało kredowe pole — kształt narodzin

Panie —
Znowu w skurczu rodzi się świat

CZŁOWIEK OCALONY

Te gesty i ta krzątanina
Te odwieczne modły do bogów szamanów i wodzów
To wołanie o krzesło o złoto o tron
Ta pycha zwycięzców (Jacy oni są śmieszni
W swoim despotyzmie) i tych co na podium
Belkocą o historii o prawdzie i intelekcie —
Panie dżaczego w tej retoryce zapomnieli
O dobroci —
I jeszcze ta codzienność w którą wtopiono
Miliony sumień

A tam
W załamaniach bramy gdzie skrzydlaty cień
Stoi brat tak boleśnie samotny
I tak bezgranicznie smutny
W wypalonych oczach przeniósł chwiejną ufność
I dzieje pisane za drutem koleczastym

Przeniósł myśli:

Jeżeli o świecie człowiek dotknie
Zielonej mgły
Jeżeli o świecie człowiek wysłucha
Głosu ptaka
Jeżeli o świecie człowiek wzniesie głowę
Na jedno mgnienie —
I spojrzy w głąb rozpalonego nieba
Gdzie różowa tarcza przynosi pieśń
Wyzwolenia
Jeżeli o świecie człowiek zawęduje
Nad Wielką Wodą
W której twarz miliona twarzy człowieka
Ocalonego

Wtedy ziemia wyda owoc nasycony słońcem
Owoc w którym ziarno miłosne
Owoc w którym miłość trwania

Owoc błogosławiony

MIARA RADOŚCI

Ten wiersz jest ciszą wołaniem i ocaleniem
Nade mną błazne niebo rozdierane
Narastającym blaskiem
W dali horyzont włączony w nieskończoność
Milezienia
Obok drzewo sennie i nieruchome —
Jak zjawia straszaka na drodze
I ziemia
Rozdarta do rozpalonej krtani
Jak do krzyku
I ty
I twoja obecność której nigdy nie było
Chociaż dotykasz tak nieśmiało
Mojego czoła warg
Piersi

Napisałem dzisiaj pieśń gorącym wiatrem
I oddałem ją tej która wyzwoliła we mnie
Somnabuliczne sny
Która przyszła ze świata bezpamięci
Gdzie już tylko mitowanie tak wielkie
Jak wielki jest smutek odejścia
I niemożliwe
Jak słowo nigdy nie wypowiedziane
Nawet w Księdze Objawienia

W pieśni kreślonej rozpaloną wyobraźnią
Mówię z tobą o wieczności i ocaleniu
O tym że na „zdeplanej ziemi wyrasta
Żdźbło” trawy o barwach twojej skóry
Że niewidzialne staje się widzialne
Gdy oddech twój obejmuje milczenie
W którym zamieszkuje już od Wielkiego
Potopu
I jeszcze o tym że wizja powrotu pozostaje
Jednak siostrą nadziei
Tak jak ruch krwi przywołany
Księżycową falą
Pozostaje najgłębszą miarą radości
Ułożyłem dzisiaj pieśń
W której jest tyle pytań tyle trwog
Tyle gorzkiej zieleni
I tyle światła wynurzającego się
Spod twoich przymkniętych
Powiek

O wczesnym świecie wiatr przewiał
Moje serce
Pozostała pieśń

POWRÓT DO ŹRÓDEŁ

— Zapomnieliśmy, że partia nasza wyrosła z ruchu ludzi biednych, zapomnieliśmy, że jesteśmy partią ludzi biednych. Te słowa jednego z członków nowego kierownictwa partii, wypowiedziane w początkach września br. do dziennikarzy, zawierają — moim zdaniem — ważny klucz do zrozumienia przyczyn deformacji, wypaczeń jakie doprowadziły nasz kraj do obecnej sytuacji. Smutne to

co prawda, że podręcznikowe niemal zasady zostały gdzieś zagubione, ale dobrze jest je dzisiaj przypomnieć. Po prostu dobrze jest wracać do źródeł, z których wyrósł potężny ruch robotniczy naszej epoki. Ale gdzie i kiedy te zasady zagubiono? Pytanie powinno być przedmiotem wszechstronnej analizy teoretyków — filozofów, socjologów i ekonomistów. Poniższe refleksje nie roszą sobie pretensji do naukowych rozważań. Ot, są to takie sobie, luźne uwagi dziennikarza, który obserwował jak wokół niego przez ostatnich pięć lat postępował proces porzucania podstawowych pryncypiów socjalizmu, demokracji wewnątrzpartijnej i jak stopniowo do rangi filozofii obowiązującej awansowano zbiór poglądów eklektycznych opacznie zwanych pragmatyzmem. „Pragmatyczna” stała się np.

teza, że jeśli na statku wystarczająco dobre jest samopoczucie kapitana, oficerów, no i podoficerów, to o marynarzy nie musimy się kłopotać. Ba, uzasadniono to całym sztafżem teorii bodźców ekonomicznych. Stąd już był tylko krok do uznania, że marynarzom wystarczy pełny żołądek, a będą grzeczni i pokorni i stąd wywodził się pogardliwe miano roboty, ludzi — automatów. Najbardziej widać to było w propagandzie. I tu, niestety, z przykrością muszę stwierdzić, że część moich kolegów po fachu, „na ochotnika” zapisała się w szeregi „pragmatyków”, wstąpiła do nowo bogackiego establishmentu. Wprawdzie „propaganda sukcesu” środków masowej informacji narzucano, ale gołymi doprowadzili ją do absurdu. Oto np. gazety, w tym łódzkie także, niejako programowo

rozpoczęły zapełniać swoje łamy materiałami, w których głównym bohaterem był samochód, oczywiście własny. Problemy komunikacji masowej zepchnięto do rzędu małych nie znaczących notatek. Nie nie pomagały argumenty, iż niemal do końca XX wieku większość mieszkańców kraju nie wjeżdżała w posiadanie samochodu. Słusznie pisał niedawno S. Garztecki na łamach „Polityki”, że rzeczywistość oglądana zza szyb samochodu jest zasadniczo zdeformowana. I to prawda, bo mijając samochodem przepelnione autobusy i tramwaje nie czuje się całej biedy wymęczonych ludzi wracających z fabryk do domów. Jakby dla rozgrzeszenia siebie prowadzono na łamach jednej z gazet fikcyjne dyskusje o drobnomieszczaństwie, ale z drugiej strony holdowano teoryje: że u nas to jak w ka-

pitalizmie — są ludzie odnoszący sukces, zasobni, zapobiegliwi, ba, oszczędni, a z drugiej nieudacznicy, wiecznie skazani na vegetację. Bo przecież „każdemu według jego pracy...”. Zapomniano o drobniaku: nasz system płac tak dalece stracił sens, że podstawowa zasada socjalizmu miała często postać „każdemu według jego zaradności”. Niedawno slyszalem opowieść jednej z koleżanek, jak to przed dwoma laty napisała reportaż o małżeństwie z dwanaścioro dzieci i codziennych kłopotach — tej rodziny. Kierownictwo gazety, skądinąd partyjnej, odrzuciło materiał, argumentując, że jest to nieetyczne, że to polska rodzina. I kropka. Nie przyjmowano też do wiadomości, że 40 proc. polskich rodzin żyje w granicach minimum socjalnego, a zamiast te-

go mawiano, że Polacy zjadają więcej mięsa niż Skandynawowie i gdyby mniej „zżerać”, to mogliby kupować samochody, dachy, działki. Nie dostrzegano ludzi borykających się z trudnościami dnia codziennego doprowadzono do bardzo dziwnych poglądów. Oto w partyjnej instancji usłyszałem kiedyś taką „głęboką myśl”: nie polegajcie na współczuciu, to jest niskie uczucie. Zaraz, zaraz — pomyślałem — skąd ja to znam? I oświecone, przecież to myśl filozofa Nietzschego — „Współczucie zabija życie”. Jak z powyższego wynika odejście od teoretycznych źródeł socjalizmu doprowadziło do mętności ideologicznej, i teraz chodzi o powrót do owych źródeł.

EDMUND TULKO

PO MOCNYM IMPULSIE

Obecnie dostrzega się wyraźniej wszystkie błędy w polityce gospodarczej, poddając je społecznej ocenie. Niektórzy uważają, że w tym publicznym rozdrapywaniu ran poszliśmy już zbyt daleko. Być może, nie sądzę jednak, aby plaster był najlepszym lekarstwem. W pierwszej kolejności trzeba poznać przyczyny schorzenia, a później postawić właściwą diagnozę. Po prostu człowiek jest spokojniejszy kiedy wie, co mu zaszkoziło. Naszej gospodarce w dużej mierze zaszkoziła zachowawcza i biurokratyczna postawa centralnej administracji. Była ona niezwykle odporna na jakiegokolwiek zmiany, jakiegokolwiek głosy krytyki z dołu i z niższych szczebli. A przecież takie głosy rozlegały się w przeszłości. Między innymi na łamach gazet. Domagano się wręcz takich zmian w systemie zarządzania, planowania, które usprawnią naszą gospodarkę. Były to żądania na miarę rozsądku i zwykłych ludzkich potrzeb. Niestety, po-

zostawały bez echa. Natomiast latami zachodził proces, który deformował system planowania i funkcjonowania gospodarki. Skąd brały się takie deformacje? Dzisiaj odpowiedź nie nastęca większych trudności. Rzecz w tym, że do tej pory administracja gospodarcza utożsamiała się z władzą polityczną. I odwrotnie. Następowo więc połączenie czynników politycznych i administracyjnych. Nie był to związek najlepszy. Przemieszały się bowiem funkcje polityczne z funkcjami o charakterze administracyjnym, czy nawet społecznym. I nie jest kwestią przypadku, że i sekretarz KŁ PZPR w Łodzi — B. Koperski jest równocześnie przewodniczącym Rady Narodowej, posłem na Sejm PRL, przewodniczącym Zespołu Poselskiego w Łodzi, przewodniczącym Sejmowej Komisji Przemysłu Lekkiego. Jak na jednego człowieka jest to olbrzymia ilość obowiązków a jeszcze większy ciężar odpowiedzialności. Ten swoisty „stan posiadania” prowadził moim zdaniem do znacznej odporności na słowa krytyki, na propozycje zmian o bardziej zasadniczym charakterze. Nawet delikatne zarzuty, kierowane pod adresem centralnej administracji odbierane były przez władzę polityczną jako ataki w jej stronę. Co wreszcie najważniejsze, słowa krytyki, formułowane m.in. przez prasę w różnych zresztą dziedzinach, nie przynosiły żadnych zmian.

A przecież nie jeden raz odzywały się głosy łódzkich dziennikarzy na temat ignorowania rachunku ekonomicznego w naszej gospodarce. Bo dla przykładu od dawna mieliśmy do czynienia z systemem bezplanowej polityki inwestycyjnej w budownictwie mieszka-

niowym. Nie od dzisiaj wiadomo, że fabryki domów kupowano za granicą bez głębszego zastanowienia, bez rzetelnego rachunku. Między innymi z firmy RFN „Kasting” sprowadzono taką fabrykę do Łodzi. Jej maksymalna zdolność produkcyjna okazała się o 30 proc. niższa od przyjętej w ofercie. Teraz głośno się mówi i pisze, że ta cała transakcja była deską ratunku dla zachodniomiejemckiego przemysłowca, który gdzie indziej nie miał szansy, aby sprzedać tak kapitałochłonną technologię.

29 października 1980 roku rozpoczęło się w Warszawie Nadzwyczajny Zjazd Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Na zjazd ten pojeżdżali z Łodzi trzynastu delegatów. Obok prezentujemy wypowiedzi kolegów z „Dziennika Popularnego”, „Głosu Robotniczego” i Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia.

Albo inny, charakterystyczny przykład. Wybitny ekonomista — P. Pajestka na pytanie dlaczego zrezygnowano z systemu WOG tak odpowiedział: „Zrezygnowano, ponieważ ten system oznaczał zasadniczą zmianę w sposobie sprawowania władzy przez centralny aparat gospodarczy. Oznaczał on większą samodzielność dla przedsiębiorstw. Otóż aparat centralny łatwo na takie zmiany nie chciał iść. On chciał dzielić i rządzić, nawet jeśli robił to kiepsko”.

Motywy takiego postępowania są raczej przejryste. Konieczność zmian w systemie zarządzania, planowania, może bowiem pro-

wadzić do wniosku o potrzebie takich zmian w administracyjnym aparacie władzy. Wobec takich obaw wygodniej jest zastopować reformy gospodarcze i zachować dla siebie wygodniejszą pozycję, stanowiska i dotychczasowy stan posiadania.

Przecież nie od dzisiaj wiadomo, że reformy gospodarcze są w naszym kraju niezbędne. Jeżeli mam być szczery do końca, to powiem, że dopiero dramatyczne stanowisko ludzi pracy, klasy robotniczej było dostatecznym i niezbędnym impulsem do przyspieszenia prac nad tą reformą.

A generalnie rzecz biorąc oddzielenie centralnego aparatu administracyjnego, gospodarczego od władzy politycznej powinno doprowadzić do bardziej zdecydowanych zmian w systemie zarządzania, planowania. Taki rozwój może być gwarancją, że ewentualne błędy w polityce gospodarczej nie będą miały trwałych tendencji. Wreszcie taki podział ról z pewnością wyjdzie na dobre naszej gospodarce.

Rzucilem tutaj na papier kilka spostrzeżeń, związanych z systemem gospodarowania. Nie dla wszystkich są one odkrywcze, ale dla mnie, dla dziennikarza związanego na co dzień z tematyką gospodarczą dają wiele do myślenia. I jeszcze jedna sprawa. Jeżeli prasa, środki masowego przekazu mają spełniać społecznie użyteczną rolę, to z ich głosem należy się mocniej liczyć. Między innymi w kwestiach gospodarczych, ekonomicznych. Z takim przeświadczeniem jadę na Nadzwyczajny Zjazd Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

JERZY PALKA

„TEORETYCY INFORMACJI” I DZIENNIKARZE

Sądzę, że podstawowym tematem Zjazdu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich będzie — najogólniej mówiąc — pozycja dziennikarstwa polskiego w kontekście polityki i propagandy. Dotychczas była to pozycja niska. Dziennikarz podlegał podwójnym ograniczeniom: — po pierwsze — ograniczeniom w dostępie do informacji, — po drugie — ograniczeniom cenzuralnym.

W tym drugim przypadku konieczne jest pewne uściślenie. Ograniczenia cenzuralne rozumieć nie tylko jako „zapisy” Urzędu Kontroli, lecz także ograniczenia wynikające z określonej polityki (często strusiej) decydentów propagandy na wszystkich szczeblach, ograniczeniom wynikającym z polityki redakcyjnej i w końcu ograniczeniom „wewnętrznych cenzorów”. Tkwili on bowiem w nas wszystkich — ukształtowani przez lata przemilen, lukru i dworskiej galanterii wobec spraw, które wymagają jasnych sformułowań. Zdarzały się i zdarzają: konformizm, oportunizm i zwykłe tchórzostwo. Tęgo nie zlikwiduje żadna ustawa — to przepędzić może tylko ożywienie woli. Nie wierzę zresztą w automatyczną moc wszelkich ustaw. Mogą istnieć mądre i słusne ustawy z jednej

strony — a z drugiej głupawa i zła rzeczywistość.

Jeśli chodzi o sprawę dostępu do informacji to była ona nieustającym tematem dyskusji w środowisku dziennikarskim od wielu lat.

Cztery lata temu, w grudniu 1976 roku pisałem na łamach miesięcznika „Prasa Polska”: „Czytelnik trytuje się i niecierpliwi, kiedy nie znajduje w publikacjach informacji szybkiej, rozwijającej wątpliwości lub przecinającej plotki i mgły niejasności”. Ta banalna prawda nie budziła wątpliwości w środowisku dziennikarskim. Niestety, nie trafiała tam gdzie trzeba.

Cztery lata temu pisałem również, że teoretycy informacji nie odkryli pewnego zjawiska, które w Polsce i na świecie występuje od lat. Otóż jeśli zdarzy się gdzieś fakt,

wzbudzający zainteresowanie społeczne natychmiast wie o nim cała Polska dzięki telefonom. Gdy w tej sytuacji milczą publikatorzy — emocje społeczne rosną i fala plotki rozpływa się po kraju.

„Teoretycy informacji” wyciągali z tej prawdy praktyczne wnioski latem tego roku. Gdy na Wybrzeżu wybuchły strajki czyjaś decyzja (ciekawe czyja?)... zablokowała połączenia telefoniczne z Wybrzeżem.

Taki oto był efekt rozważań na temat prawidłowego funkcjonowania informacji. Wołania o dostęp dziennikarza do informacji i możliwości przekazywania jej społeczeństwu — były wołaniem na puszczy. A przecież dziennikarz chce wykonać swój podstawowy obowiązek, chce szybko, obiektywnie i ściśle poinformować

czytelników w interesie ogólnospołecznym. Lecz wciąż istnieją interesy wąskich grup, którym taka zobiektywizowana informacja jest nie na rękę.

Sprawa druga to ograniczenia cenzuralne. W przygotowywanym projekcie ustawy o cenzurze najważniejsza wydaje mi się możliwość zaskarżenia decyzji cenzora, co postawi go przed ewentualną koniecznością uzasadnienia ingerencji, które bywają autokratyczne i praktycznie nieodwołalne.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat opublikowałem siedem książek — w większości z nich ingerował Urząd Kontroli. Nie zdarzyło się jednak ani razu, aby cenzor zechciał przedyskutować ze mną swoją decyzję, przedstawić swoje argumenty i wysłuchać moich.

Sprawa trzecia i najważniejsza. Środowisko dziennikarskie winno bezwzględnie uczestniczyć w tworzeniu modelu propagandy, winno mieć swój znaczący głos w sprawie jak realizować określone założenia i akcje propagandowe. Dziennikarz nie jest anonimowy — swoim nazwiskiem i swoją twarzą „podpisuje się” pod głoszoną poglądem i ponosi za to odpowiedzialność. Musi zatem mieć wpływ na styl i model propagandy, musi się autentycznie z nim identyfikować.

Koncepcje propagandowe nie powinny rodzić się w anonimowych gabinetach, lecz wynikać z pryncypiów polityki, potrzeb społeczeństwa oraz wiedzy i umiejętności polskiego dziennikarstwa.

JERZY WILMAŃSKI

LISTY DO REDAKCJI

„SZYNKA I KREW”

W związku z notatką prasową z dnia 21 września 1980 r. w „Ogłoszeniach” pt. „Szynka i krew”. Wojewódzka Stacja Krwiodawstwa uprzejmie wyjaśnia, że opisana w artykule sytuacja była na miejscu wyjaśniona dawcy, który zgłosił się do stacji po kilku dniach od oddania krwi, zgłaszając swoje niezadowolenie z powodu niewłaściwego obsłużenia go w dniu 29 sierpnia br.

Rozmowę przeprowadzono w obecności zastępcy dyrektora do spraw administracyjno-ekonomicznych stacji i zainteresowanych osób i uznano, że rzeczywiście dawca zbyt długo oczekiwał na przyjęcie do lekarza, tzn. ok. 30 minut, w sumie cały pobyt dawcy w stacji wynosił około 2 godzin.

Informujemy, że w związku ze szczególną sytuacją jaka istniała w kraju i w Łodzi Wojewódzka Stacja Krwiodawstwa nie mogła skorzystać z przerwy w pracy w wolną sobotę (tzn. następnego dnia) i dlatego lekarze byli zajęci kompletowaniem zespołu pracowników do pracy w stacji — w wolną sobotę i na ekiby wyjazdowe do Zgierza i Sieradza. W dziale dawców pozostali kierownik-lekarski, który zbadał zgłoszonych dawców.

Pobranie większej ilości krwi tzn. 250 ml a nie 200 ml jak życzył sobie krwiodawca było wynikiem pomyłki, ponieważ większość krwiodawców honorowych oddaje 250 ml krwi — przeprowadzono za to krwiodawcę.

Zywnienie krwiodawcy jest zgodne z normą finansową ustaloną przez Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej (zarządzenie z dnia 5 grudnia 1971 r. D.U. Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej nr 14). Niezależnie od aktualnych kosztów i możliwości zakupu artykułów żywnościowych — stacja stara się zapewnić wysokokaloryczny posiłek, który zapewniłby regenerację sił. Jednocześnie wyjaśniamy, że aktualna wywieszka o składzie, ilości i cenach artykułów żywnościowych, które otrzymuje krwiodawca w danym dniu — była dostępną krwiodawcom (wisiła na szybie w okienku podawczym).

W trosce o prawidłowe i rzetelne żywnienie krwiodawcy dokonuje się licznych kontroli wewnętrznych ze strony stacji i PSS (zwyrodnienie dawców prowadzi PSS). Dokonywane przez stację kontrole nie dają podstaw do przypuszczeń, że krwiodawca nie otrzymałby należnej mu porcji.

Jednocześnie informujemy, że dnia 15 września br. Wojewódzka Stacja Krwiodawstwa otrzymała odpowiedź z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Spo-

łecznej z dnia 18 sierpnia 1980 r. znak PB-03-L/280 na pismo stacji z dnia 9 lipca br. w sprawie ustosunkowania się do cen komercyjnych szynki, którą przeznacza się na żywnienie krwiodawców. Ministerstwo wyjaśnia, że norma na żywnienie krwiodawców nie ulegnie zmianie (300 zł od 1 litra oddanej krwi). Dla pełnego obrazu załączamy odpis wyżej wymienionego pisma.

Wojewódzka Stacja Krwiodawstwa wyraża ubolewanie z powodu zaistniałego faktu, jak również i konsekwencji jakie mogły wynikać dla rozwoju krwiodawstwa honorowego. Jeden taki fakt nie może rzucić cienia na ofiarną pracę całego zespołu pracowników stacji oraz budzić nieufności całego szeregu honorowych dawców krwi.

lek. med. JADWIGA KABZA
dyrektor
Wojewódzkiej Stacji Krwiodawstwa

Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej
Departament Ekonomiczny
Warszawa, ul. Miodowa-1

Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi przekłada w załączeniu wystąpienie Wojewódzkiej Stacji Krwiodawstwa w przedmiocie żywienia krwiodawców

(dotyczy zakupu szynki) przy obowiązujących od 1 lipca 1980 r. nowych cenach. Zdaniem wydziału pytania zawarte w załączonym wystąpieniu są zasadne, bowiem z pismem ministra finansów z dnia 30 czerwca 1980 r. nr BP-2-4313-37/80 wynika, że resorty koordynujące przedłożą wnioski w sprawie korekty norm na żywnienie.

Uwzględniając fakt, iż wydawanie krwiodawcom w ramach posiłków szynki w dotychczasowej ilości spowoduje znaczne przekroczenie ustalonej normy finansowej — wydział uprzejmie prosi o zajęcie stanowiska czy norma finansowa na ten cel zostanie zwiększona, a także czy w chwili obecnej można wyrazić zgodę na przekroczenie ustalonej normy finansowej i do jakiej wysokości, odrębnie w odniesieniu do krwiodawców platnych i honorowych.

MIROSLAW WILIŃSKI
zastępca dyrektora Wydziału do Spraw Ekonomicznych Urzędu Miasta Łodzi

Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi

W związku z pismem dotyczącym kosztu żywienia krwiodawców — Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej wyjaśnia, że norma na żywnienie krwiodawców nie ulegnie zmianie, mimo wzrostu cen cukru i

mięsa. Została ona zwiększona w bieżącym roku o około 100 proc. i w ten sposób wynosi ona 60 zł na 1 posiłek krwiodawcy przy założeniu, że na 1 litr krwi przypada 2,5 dawcy płatnego oraz 5 dawców honorowych.

Z pisma Wojewódzkiej Stacji Krwiodawstwa w Łodzi wynika, że na 1 litr krwi oddanej honorowo przypada w Łodzi przeciętnie 3,5 dawcy. W takiej sytuacji na 1 posiłek dawcy honorowego stacja posiada 86 zł. Nie ma więc problemu z żywnieniem krwiodawców w sposób zapewniający właściwą regenerację sił.

Jednocześnie przypominam, że zmiana wielkości normy budżetowej na żywnienie krwiodawców wymagałaby nowelizacji zarządzenia ministra zdrowia i opieki społecznej dotyczącego honorowego krwiodawstwa jak i załącznika do uchwały nr 185/79 Rady Ministrów, gdzie również określone są normy budżetowe na żywnienie krwiodawców.

Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej
mgr J. DZIENIAKOWSKI
wicedyrektor departamentu

Łódź, dnia 16 lipca 1980 r.

